

MIESIĘCZNIK PROWINCJONALNY

Cena 5 zł
(w tym 5 %
VAT)
indeks
351245

Nr 2
(143)
Radom
marzec-
kwiecień
2014



Na okładce:
Pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej
na cmentarzu prawosławnym
fot. Stanisław Zbigniew Kamieński
(9.04.2014 r.)

Pismo społeczno-kulturalne
Nr 2 (143)
Radom, marzec–kwiecień 2014
cena 5 zł ISSN 1506–5391

Redaguje zespół w składzie:
Anna Skubisz-Szymanowska – redaktor naczelna,
Agata Morgan – sekretarz redakcji,
Mariusz A. Dański, S. Zbigniew Kamieński,
Jerzy Kutkowski, Ilona Michalska-Masiarz,
Barbara Pikiewicz, Grzegorz Sasin, Anna Spólna,
Mieczysław Szewczuk, Robert Utkowski

Wydawca:
Miejska Biblioteka Publiczna
w Radomiu
Adres redakcji:
ul. J. Piłsudskiego 12
26-600 Radom
tel.: 48 360 23 67
fax: 48 363 38 18
e-mail: miesiecznik.radom@op.pl
http://facebook.com/miesiecznikprowincjonalny

Skład i przygotowanie do druku:
Mariusz A. Dański

Korekta: Halina Bogusz

Druk: MULTICOLOR
ul. Mikosa 19/2
26-600 Radom
e-mail: multicolor@multicolor.nazwa.pl

**Prenumeratę
można zamówić
listownie lub osobiście
(Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Piłsudskiego 12, 26-600 Radom),
jak również
telefonicznie
(48 362 87 88)
i e-mailem
(prom.mbpradom@op.pl)**

**Zespół „Miesięcznika Prowincjonalnego”
dziękuje Panu Czesławowi Krukowi
za współfinansowanie wydawnictwa w 2014 roku**

Biblioteka jest finansowana przez Gminę Miasta Radomia

MIESIĘCZNIK PROWINCJONALNY

Od redaktora

Zaczęło się w Raju.

Pierwszy był Adam. Ale biedaczysko był nieszczęśliwy i nudził się sam ze sobą. Czyżby coś szwankowało już w pierwszym męskim intelekcie? Ponoć nie ma nic lepszego niż towarzystwo inteligentnego człowieka – a ten się nudził!

Bez wahania poświęcił część siebie, żebro dokładnie, żeby towarzyszkę życia rajskiego posiadać. A żebro rzecz ważna, szczególnie żebro męskie. Wiem, bo znany mi mężczyzna poniósłszy uszczerbek na żebrze, cierpiał długo i dotkliwie. Cóż to jednak wobec cierpień Adama, ba, całej ludzkości w końcu. Wszak i nasze cierpienia są skutkiem uszczerbku na Adamowym żebrze.

To właśnie ta będąca podrzędnym, niedecydującym elementem patriarchalnego modelu świata Ewa, ulegając pokusie poznania smaku zakazanego owocu, sprowadziła na cały rodzaj ludzki poznanie i doświadczanie zła, bezpowrotną utratę raju.

No więc zaczęło się w raju. Wcale nie od pierwszych męskich walk plemiennych ani okrutnych męskich wojen. Zaczęła pramatka Ewa – pierwsze wcielenie kobiecości.

Potem była Kleopatra – piękna, wojownicza, mściwa i zbrodnicza władczyni Egiptu. Równie piękna, kapryśna i tak samo okrutna Herodiada, bezwzględna caryca Katarzyna, Mata Hari, zwyrodniałe gestapówki, funkcjonariuszki innych zbrodniczych systemów, których ideologiczne podwaliny były oczywiście dziełem mężczyzn. Bardziej i mniej ponętne kobiety siejące zło, cierpienie, podstęp i śmierć. Nie przeszkadzał im w tych działaniach brak praw wyborczych ani zakaz wstępu na uniwersytety.

A teraz spróbujmy wyobrazić sobie alternatywne dzieje ludzkości. Załóżmy, że Ewa nie zerwała owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego. Złóżmy, że wszyscy do dzisiaj zamieszkujemy Raj.

Wszystkie wymienione wcześniej kobiety miałyby swoje miejsce w historii, ale jakże inną odegrałyby w niej rolę, jakże inaczej wpływałyby na losy świata. Historia pisana przez nieznające smaku zła kobiety byłaby historią pokoju, spokoju i miłości.

Ot, kobiecość...

Anna Skubisz-Szymanowska

W numerze

w Galerii Prowincjonalnej

II MIĘDZYNARODOWE TRIENNALE MEDIÓW CYFROWYCH – RADOM 2013



Ścięcie Śmierci – fotoreportaż i kilka słów wprowadzenia

Jerzy Kutkowski

Na zakończenie karnawału, jak co roku, odbyły się trzydniowe „Jedlińskie zapusty" (w kusą niedzielę, kusy poniedziałek i kusy wtorek), których finałem było widowisko obrzędowe „Ścięcie Śmierci" w kusy wtorek, 4 marca 2014 r. Od zamierzchłych czasów w obrzędzie biorą udział wyłącznie chłopcy i mężczyźni, niektórzy z nich przebrani za kobiety. Aby panie nie czuły się zupełnie wykluczone, w pierwszym dniu, w niedzielę, organizowany jest dla nich Bal Kobiet, w przebraniach. W tym roku warunkiem wstępu na zabawę było oryginalne nakrycie głowy.

Obrzęd ścięcia śmierci ma swe korzenie w igrcach żakowskich, jako że w Jedlińsku funkcjonowały w latach 1560–1655 uczelnie ariańskie. Jedliński proboszcz i regionalista ks. Jan Kloczkowski opisał zapustne widowisko i w 1860 r. zamieścił pierwszą informację w warszawskiej „Gazecie Codziennej". Zasługi księdza są większe – widowisko do dzisiaj jest wykonywane według jego rymowanego scenariusza (pisała o tym szerzej M. Jurecka w „MP' nr 2 (125) z 2011 r.). Także w tym roku ulice miasteczka wypełniły się barwnymi przebierańcami. Grała orkiestra strażacka i ansambl z Zamościa. Było jadło i wyszynk, kiermasz sztuki ludowej i zdrowej żywności. Tegoroczne widowisko „Ścięcia Śmierci" poprzedziła „nowa świecka tradycja" – wręczenie nagród za promocję kultury. Statuetką Jedliński Raczek (Jedlińsk ma raka w herbie) projektu Artura Wąsowicza zostali wyróżnieni: proboszcz ks. Henryk Ćwiek, prezes Banku Spółdzielczego w Jedlińsku Krzysztof Sadurski i kierownik Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli Tomasz Tyczyński. Po tym wstępie zaczął się główny obrzęd: kościelny Kanty przekazuje wieść, że śmierć, upiwszy się w karczmie, zgubiła kosę w Tocznem i śpi na łące pod Spaloną Groblą. Mieszkańcy poprowadzeni przez Kantego chwytają kostuchę i mocno krępują linami. W barwnym korowodzie z orkiestrą zaciągają ją na rynek, gdzie już czeka sąd. Odczytują rymowany akt oskarżenia. Śmierć trzęsie się ze strachu. Wójt Pardoła z ławnikami wydaje wyrok: „Kto się zabójstwa dopuści, temu prawo nie przepuści. Zabijcie śmierć srogą i się nad nią nie li-





tujcie, bo ona wam zabiera siostry i braci. Za te zbrodnie liczne, za te rozbójstwa rozliczne, my sąd, wyrok wydajemy, w imię Boga, Ojca, Syna na ścięcie ją skazujemy nim minie czwarta godzina". Kat w czerwonej szacie nie czeka, jednym uderzeniem miecza ścina jej głowę. Kiedyś w owym momencie aktor grający śmierć wypuszczał spod białej szaty czarnego kota, symbol kostuszej duszy. Tym razem kota oszczędzono. Zwłoki Śmierci załadowano przy okrzykach radości na drabiniasty wóz i powieziono do księdza, aby akt zgonu podpisał. Śmierci nie ma. Zaczyna się wielka radość, tańce, hulanki, swawole. Ale już następnego dnia środa popielcowa. Memento mori.

Jerzy Kutkowski
4.03.2014 r.













O radomskiej rzeźbie pomnikowej (część trzydziesta)
Kobiety z pomników wdzięczności

Stanisław Zbigniew Kamieński

Sądziłem, że o radomskim pomniku „Wdzięczności Armii Czerwonej", stojącym niegdyś na placu Zwycięstwa, a dziś przeżywającym swoje wygnanie na cmentarzu prawosławnym, napisałem wszystko, co można było napisać. Ale myliłem się. Po niedawnym wystawieniu przez studenta ASP w Gdańsku, w przestrzeni publicznej, rzeźby „Komm, Frau" i związanej z tym wydarzeniem dyskusji w mediach pomyślałem, że nie wyczerpałem jeszcze wszystkich wątków tego tematu. Przypomnę: wieczorem 12 października 2013 r. student Jerzy Bohdan Szymczyk ustawił z pomocą przyjaciół w centrum Gdańska, w pobliżu czołgu T-34 upamiętniającego wyzwolenie miasta w marcu 1945 r. przez Armię Czerwoną, swoją rzeźbę przedstawiającą sowieckiego żołnierza gwałcącego ciężarną kobietę. Żołnierz przykłada kobiecie pistolet do głowy, drugą ręką trzyma ją za włosy. Tej samej nocy policja usunęła rzeźbę, ale jej fotografie można było zobaczyć w wielu tytułach prasowych i telewizji, zdarzenie wywołało medialną burzę, sporo zdjęć ciągle pozostaje do obejrzenia w internecie.

Przy okazji media przypomniały fakty związane z marszem Armii Czerwonej przez ziemie polskie i nie tylko polskie, ze wschodu na zachód. Ocenia się, że sowieccy żołnierze zgwałcili co najmniej 1,4 mln niemieckich kobiet i dziewcząt na terenach do Odry i Nysy, jeśli dodać ofiary gwałtów między Odrą a Łabą, liczba ta dochodzi do 2 mln. Około 180 tys. spośród nich zostało potem zamordowanych lub na skutek gwałtów zmarło lub popełniło samobójstwo. Gwałcone były również Polki, ich liczba jest niebagatelna (sto kilkadziesiąt tysięcy kobiet), gwałtów dopuszczano się na niemieckich i polskich dziewczynkach. Fakty te były przez długie dziesięciolecia skrzętnie ukrywane i pomijane milczeniem. Wyobrażenie „Bohaterskiej Armii Czerwonej Wyzwolicielki", jak pisano na setkach pomników i tablic wystawionych na jej cześć – ten napis pojawił się też na radomskim pomniku – musiało być wolne od złych skojarzeń. O przypadkach gwałtów i bestialstwa sowieckich żołnierzy, wcale przecież nie odosobnionych, nie wolno było wspominać.

Kobiety, ofiary gwałtów wstydziły się i bały mówić o tym głośno, panowało tolerowane, a może nawet zalecane sowieckim żołnierzom bezprawie, którego dziś nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Jednocześnie temat ten 70 lat temu należał, dużo bardziej niż dziś, do obszaru tabu. Z drugiej strony wszyscy ci, wśród nich także te, które nie doświadczyły seksualnego bestialstwa na własnej skórze, na własnym ciele, nie chciały, nie chcieli o tym słyszeć, odrzucali od siebie takie wiadomości; ludzie potrzebowali cieszyć się wreszcie życiem wolnym od strachu, grozy, przerażenia, choćby za cenę fałszowania rzeczywistości. Większość nie zdawała sobie sprawy, że w ten sposób wspiera aparat nowej władzy, wpierw wojskowej, potem cywilnej, która poruszającym takie tematy potrafiła zamykać usta różnymi metodami.

Wojenne bestialstwo zwycięzców wobec ludności cywilnej, głównie kobiet, jest dziś, kilkadziesiąt lat od tamtych wydarzeń, tematem publicznie przywoływanym i poruszanym; wówczas, gdy bezpośrednio i boleśnie dotykało tylu ludzi, tak że nie mogli poradzić sobie z dalszym życiem, było zepchnięte do sfery prywatnej, okryte milczeniem. Zastanawiam się nad tym w kontekście tylu rzeźb pomnikowych, które od końca lat 40. przez kilka dziesięcioleci stawiane były w całej Polsce, sławiąc czyn zbrojny Armii Czerwonej i heroizm jej żołnierzy. Pomniki takie musiały niewątpliwie powstawać, taki był przymus ideologiczny, tego wymagała tzw. racja stanu i tego oczekiwał on od nas potężny Związek Radziecki. Interesują mnie postaci kobiet na owych pomnikach, zastanawiam się, czy ich obecność na cokołach również była nakazana, czy wynikało to raczej z inwencji samych artystów, autorów takich rzeźbiarskich przedstawień. Nie wyobrażam sobie, aby nic nie wiedzieli o bestialstwie i barbarzyństwie sowieckich żołnierzy wobec setek tysięcy kobiet. A jednak pomnikowe kobiety, niejako z własnej woli, wchodzą na cokoły i stają obok swoich wyzwolicieli, same prowadzą żołnierzy do walki z wrogiem, albo pojawiają się jako żołnierskie matki, dumne ze swoich synów.

Przyglądając się onegdaj radomskiemu pomnikowi Wdzięczności, tak zobaczyłem i skomentowałem wówczas rzeźbiarskie przedstawienie grupy dwóch żołnierzy, jednego w radzieckim hełmie, drugiego w polskiej rogatywce, kobiety z małym chłopcem na rękach i dziewczynki: „Postaci wyłaniające się ze wspólnego bloku kamienia sprawiają wrażenie kilkugłowego bóstwa, współczesnego Światowida ogarniającego spojrzeniem rzeczywistość dookoła i sprawującego nad nią straż". Znowu oglądałem ten sam pomnik na cmentarzu prawosławnym, ale dziś widzę i interpretuję go inaczej. Mam wrażenie, jakby grupa postaci została ustawiona na małym skrawku ziemi nad przepaścią ze wszystkich stron lub na krze z otchłanią wody wokół. Wystarczy drobne zakłócenie ich wymuszonej równowagi, czyjś nieopatrzny ruch, aby wszyscy zwalili się w dół, runęli w otchłań. Ich twarze pozbawione są jakiegokolwiek wyrazu poza dojmującą obojętnością, jakby stracili nadzieję na ocalenie, na normalne życie.

Moje obecne odczytanie wymowy pomnika jest zapewne powodowane niedawną dyskusją w mediach (wokół gdańskiej rzeźby studenta tamtejszej ASP), która ujawnia coraz dobitniej historyczną prawdą o pochodzie Armii Czerwonej pod koniec wojny na zachód. Teraz, kiedy nie musimy już składać hołdów wdzięczności Wyzwolicielce (co nie znaczy, abyśmy lekceważyli śmierć tylu ludzi gnanych na wojenną rzeź), ani zachłystywać się do tego stopnia odzyskaną wtedy (względną) wolnością, aby przymykać oczy na cenę, jaką przyszło nam za tę wolność zapłacić, możemy odczytywać wymowę pomników na własny, nie „jedynie słuszny" sposób.

Nieprzewidywane przez ich autorów, myślących zgodnie z oczekiwaniami władzy, a wręcz przez tę władzę zakazane sensy i przekazy, dają o sobie znać, poruszają wewnętrznie formę, która właśnie miała skutecznie je tłumić, nie dopuszczać do głosu przesłań wrogich ustrojowi. Dziś kamienne figury z pomnika Wdzięczności przemawiają do mnie tak: „Kazano nam

stanąć razem wysoko na postumencie i trwać tak w bezruchu, w zgodzie na zafałszowany układ". Radziecki żołnierz propagandowym gestem osłania kobietę z dzieckiem połą swojego szynela, choć wie, że jeśli za chwilę nie zginie w walce, może zrobić z nią wszystko co zechce, ma na to przyzwolenie swojej władzy. Kobieta trzyma na rękach chłopczyka, jakby wierzyła, że propagandowy obrazek matki z dzieckiem może uchronić ją przed bestialstwem zdeprawowanych żołnierzy. Polski żołnierz ustawiony został na kamiennym podium tak, że musi przytrzymywać się sowieckiego towarzysza broni, jeśli chce liczyć na przeżycie. Dziewczynka, być może starsza siostra trzymanego na rękach chłopca, reprezentantka ocalonych z pożogi wojennej dzieci, nie wie, dlaczego musiała się tu znaleźć, wolałaby na pewno bawić się z rówieśnicami lalką, niż stać nad przepaścią, pomiędzy matką a żołnierzem. Ale wszyscy muszą zastygnąć w groteskowej zgodzie na narzucone im role.

Upiornej aury dodają rzeźbie ślady po zniszczeniach spowodowanych transportem kolosa z placu Zwycięstwa oraz warstwa betonu czy cementu narzucona na powierzchnię rzeźby, jako pierwszy etap jej konserwacji. Uczniowie Liceum Sztuk Plastycznych mieli odrestaurować socrealistyczną rzeźbę w ramach ćwiczeń konserwatorskich, poprzestano jednak na pracach wstępnych i dziś kamienne postaci sprawiają wrażenie, jakby ich twarze dotknęła jakaś straszna choroba skóry, na myśl przychodzą mi nazwy trąd czy dżuma, choć prawdę mówiąc, nie wiem, jakie są objawy tych chorób. Skojarzenie z dżumą nasuwa się w sposób oczywisty – wojna, przemarsz zwycięskiej armii, widziane jako pustosząca ogromne obszary straszna zaraza, epidemia zdziczenia i bezprawia, aby potem, na pomnikach, przybierać patetyczne gesty braterstwa broni i opieki nad cywilami.

Takich pomników powstało w Polsce setki, przypominam jeden z nich, ustawiony w tym samym czasie co monument radomski, w październiku 1953 r., na skwerze Kościuszki w Gdyni. „Pomnik braterstwa polsko-radzieckiego", ochrzczony szybko przez mieszkańców imieniem „Nataszy". „Natasza" stacjonowała przed budynkiem dowództwa marynarki wojennej niemal 37 lat. 22 lipca 1990 r. nastąpił demontaż pomnika, figurę przetransportowano na wojenny cmentarz w Gdyni Redłowo, cokół w kształcie potężnej, przysadzistej kolumny stał jeszcze na skwerze przez kilka miesięcy.


fot. S.Z.Kamieński

Moja znajoma, będąc wtedy na wakacjach nad morzem, znalazła się przypadkiem w pobliżu pomnika w chwili zdejmowania figury z kamiennego podestu. Wokół zebrało się dużo ludzi komentujących zdarzenie, którego stali się świadkami. Większość z nich nabrała zapewne przez lata dystansu do idei polsko-radzieckiego braterstwa. Dla większości z nich owo braterstwo, symbolizowane przez „Nataszę", było oczywistym fałszem, a jednak przywykli do widoku kobiecej postaci na szczycie kolumny. Niektórzy z zebranych tam uważali, że pomnik powinien zostać na dotychczasowym miejscu, że postać kobiety, utożsamiana z matkami żołnierzy, jak usłyszała znajoma, nikomu nie przeszkadza. Ona sama, wówczas jeszcze licealistka, ale przecież kobieta, nie wiedziała, co o tym myśleć.

„Natasza" stoi dziś, podobnie jak pomnik radomski, na płaskim podeście, niemal bezpośrednio na ziemi, figury tam i tu są podobnej wielkości, ale gdyńska postać została odlana w brązie. Mocno zbudowana dziewczyna, chyba jednak należy powiedzieć – kobieta, idzie zdecydowanym krokiem, z okrzykiem czy śpiewem na ustach; w silnych dłoniach trzyma drzewiec sztandaru. Na nogach ma wysokie wojskowe buty, ale nie okrywa jej żołnierski płaszcz. Ma na sobie tylko sukienkę pozwalającą dostrzec kobiece, pełne kształty. Przywodzi na myśl Nike, boginię zwycięstwa, chłopską czy robotniczą Nike, wiodącą lud do boju. Jej twarz wyraża głuchą na wszystko, co dzieje się dookoła, determinację. Wolność prowadząca lud na barykady w obrazie Delacroix spogląda za siebie, jakby sprawdzała, czy lud podąża jej śladem, chłopska Nike idzie naprzód, nie oglądając się na nikogo, wie zapewne, że dla sowieckich żołnierzy nie ma jakiegokolwiek odwrotu.

„Natasza" jest typowym produktem socrealizmu (powstała w 1949 r.), ale widać, że wyszła spod ręki utalentowanego rzeźbiarza. Jej autorem jest Marian Wnuk (1906–1967), współzałożyciel i profesor gdańskiej PWSSP. Jego późniejsza o 15 lat rzeźba przedstawiająca siedzącą kobiecą postać, zatytułowana „Kobiety w czasie okupacji", ma syntetyczną formę i jest już pozbawiona propagandowej wymowy.

Kiedy oglądam w internecie fotografie gdyńskiej rzeźby, kiedyś na kolumnie w centrum miasta, dziś na cmentarzu, „Natasza" na nowym miejscu kojarzy mi się ze złowróżbną Kasandrą, głoszącą kobietom czasów wojny ponure przepowiednie, którym nikt nie chce dać wiary.

Dopatrywano się w „Nataszy" symbolu matek żołnierzy, taka symbolika jest zawsze dobrze widziana i znajduje wielu obrońców, ale trudno utożsamiać „Nataszę" z żołnierską matką, co najwyżej z siostrą. Jest jednak w Gdańsku, na cmentarzu wojennym we Wrzeszczu pomnik wdzięczności pod takim hasłem – wyidealizowane przedstawienie dwóch kobiet, matki Polki i matki Rosjanki, czekających na powrót swoich synów z wojny, pięciometrowe figury z brązu autorstwa miejscowego rzeźbiarza Zygfryda Korpalskiego (1930–2011). Kobiety w sukniach do ziemi (skąd wytrzasnęły te suknie, z teatralnego magazynu?) trzymają się za ręce, matce Rosjance rozwiewa włosy wiatr wolności wywalczonej przez syna żołnierza. Z dumnie uniesioną głową patrzy na matkę Polkę, przykładając drugą rękę do piersi w egzaltowanym geście. Matka Polka, zamyślona, spuściła wzrok. Co też matka Rosjanka chce powiedzieć matce Polce? Chyba to, że mogą szczycić się swoimi synami, tym, że wychowały ich na wzorcowych obywateli bratnich narodów. Pomnik został odsłonięty w ponurych czasach po stanie wojennym, w 1984 r. 30 lat później w tym samym Gdańsku młody rzeźbiarz, uczący się jeszcze w ASP, wystawia na widok publiczny swoją studencką pracę przedstawiającą sowieckiego żołnierza gwałcącego kobietę – też matkę.

W ten sposób obraz przemarszu Armii Czerwonej do Berlina, zawarty w pomnikowych komentarzach i interpretacjach, dopełnia się i zamyka. Setki pomników powstających za PRL-u o narzuconej, propagandowej wymowie, musiały wywołać w końcu reakcję w postaci przedstawienia brutalnego, szokującego być może tych, którzy nie dopuszczają do świadomości prawdziwego obrazu sowieckiego wyzwolenia, ze wszystkimi jego mrocznymi stronami. Jednak fakty historyczne, ich skala, ujawniająca się w statystykach, uprawniają do takich artystycznych wypowiedzi, powstających nie po to, aby się podobać, ale przeciwnie – budzić niechęć, odrazę, sprzeciw i, poruszającymi, także ciemnymi obrazami, zapadać w naszą świadomość.

Stanisław Zbigniew Kamieński
5–19.11.2013

Z notatnika malarza ikon

Drabina (część IX)

Michał Płoski

Poczet ruskich „strastotierpców" (męczenników) otwierają Borys i Gleb. XIII-wieczna ikona ukazuje ich w jednakowych pozach – stoją godnie w kniaziowskich szatach. Borys, który w chwili śmierci był dojrzałym mężczyzną, ma wąsy, brodę i twarz surowszą niż jego młodszy brat Gleb, o obliczu chłopięcym, pozbawionym zarostu, okolonym długimi włosami. W prawych dłoniach unoszą krzyże, w lewych dzierżą okryte pochwami miecze, skierowane ku dołowi. Inna XIV-wieczna ikona przedstawia ich na koniach. Jadą blisko siebie. Gleb zwrócony jest ku starszemu bratu. W tle skalisty krajobraz, znany nam ze scen z życia Chrystusa na świątecznych ikonach. Wygląda to tak, jakby na swych dzielnych rumakach wjechali w świat ewangeliczny. W prawym górnym rogu deski, w półkolu otwartego nieba, widać postać Pana Jezusa, który błogosławi braciom.

Borys i Gleb byli synami Włodzimierza, księcia kijowskiego zwanego Wielkim i Równym Apostołom, gdyż za jego panowania, w 988 r., odbył się chrzest Rusi. Borys miał wtedy około roku, Gleb dopiero miał się urodzić. Od dzieciństwa wyróżniali się pobożnością. W chwili śmierci Włodzimierza w 1015 r. nie było ich w Kijowie. Borys na czele wojsk wracał w tym czasie z wyprawy przeciwko Pieczyngom, którzy w XI w. najeżdżali Ruś. Dowiaduje się o śmierci ojca i o tym, że ich starszy brat Świętopełk objął tron kijowski. Borys nie ulega namowom podwładnych, aby zbrojnie przeciwstawić się bratu i odsyła wojska. Nie chce rozlewu krwi. Pozostaje bezbronny, godząc się na to, że może zginąć. Rzeczywiście, Świętopełk rozkazuje zabić braci, widząc w nich konkurentów do sukcesji po Włodzimierzu. Wedle opisu pochodzącego z końca XI w. Borys raniony włócznią przez zabójców modlił się, po czym, jak czytamy: „[...] zwrócił się ku nim z łagodnym spojrzeniem i pochyloną głową; cały we łzach powiedział: »Bracia, kończcie wasze zadanie i niech będzie wam pokój i bratu mojemu, bracia!«"[1]. Podobnie z modlitwą na ustach odchodził do Pana Gleb. Świętopełk, nazwany „Przeklętym", wkrótce musiał opuścić tron ojca i szukać schronienia u swego teścia Bolesława Chrobrego, ale to już inna historia, z którą związany jest nagi miecz zwany „szczerbcem".

Borysa i Gleba kanonizowano już w pięć lat po opisanych zdarzeniach. Szybko rozwijający się kult świętych znajduje odbicie we wczesnej literaturze ruskiej i zapisuje się głęboko w duchowości naszych wschodnich sąsiadów: nieprzeciwstawianie się złu siłą, przyjęcie cierpienia bez sprzeciwu, wybaczenie krzywdy.

Wśród ludów przedchrześcijańskich panowało przeświadczenie o powinności zemsty. W pierwszych wiekach taka mentalność zmieniała się z trudnością, także u chrześcijan. Święty Augustyn w jednym ze swych kazań mówił: „Wiem, że codziennie przychodzą ludzie, padają na kolana, biją czołem o ziemię, czasem twarz zalewają łzami i wśród tak wielkiego upokorzenia i zakłopotania mówią: »Panie, pomścij mnie, zabij mego wroga«"[2]. W apoftegmatach ojców pustyni znajdujemy opowiadanie o mnichu, który pragnie zemścić się za swoją krzywdę i nie chce od tego odstąpić, mimo perswazji abby Sisoesa Wielkiego. Poruszają go dopiero słowa starca: „Boże, już nam niepotrzebna Twoja troska o nas, bo sami sobie wymierzamy sprawiedliwość"[3].

---

[1] *Z opowieści męki i pochwały świętych męczenników Borysa i Gleba*, autor nieznany (koniec XI w.), cytuję za: T. Špidlik: *Wielcy mistycy rosyjscy*, tłum. J. Dembska, Kraków 1996, Wyd. M, s. 24.

[2] *Wybór mów: kazania świąteczne i okolicznościowe*, tłum. J. Jaworski, Warszawa 1973, s. 87.

[3] *Pierwsza Księga Starców*, tłum. M. Borkowska, Kraków 1992, Wyd. M, s. 247.



fot. S.Z.Kamieński

Dziewiąty rozdział *Drabiny raju* św. Jana Klimaka nosi tytuł „O pamiętaniu o krzywdzie". Czytamy w nim, że jest ono: „wypełnieniem gniewu, przechowywaniem grzechów, nienawiścią sprawiedliwości, zatratą cnót, jadem duszy, czerwiem umysłu, pohańbieniem modlitwy, niszczeniem prośby [...]"[4]. Klimak ciągnie dalej długą listę mocnych określeń. Mnich, który w codziennej modlitwie powtarza prośbę o odpuszczenie win „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom", winien wyrzec się mściwości, zapomnieć o krzywdzie. Pustelnik zachowujący w sercu urazę podobny jest do kobry leżącej w kryjówce, która nosi w sobie śmiercionośny jad. Miarą uwolnienia od pamięci o krzywdzie nie jest ani modlitwa za krzywdziciela, ani składanie mu podarków i świadczenie uprzejmości. Dopiero wtedy jesteśmy wolni, gdy usłyszawszy, że naszemu krzywdzicielowi przytrafiły się jakieś niedole, pożałujemy go jak siebie i zapłaczemy – pisze Klimak. Kończąc rozdział, stwierdza: „Niech nikt nie przypuszcza, że owa ciemna namiętność jest małoważna; bo zdarza się nieraz, że dociera ona aż do uduchowionych mężów"[5].

Postawa kniazia Borysa i radykalizm św. Jana Klimaka mogą budzić nie tylko podziw, ale i wewnętrzny sprzeciw. Nie godzimy się bowiem z niesprawiedliwością, z łamaniem podstawowych praw człowieka, z okrucieństwem zabójców... Trudno wobec zbrodni uciszyć w sobie emocje, przeciwstawić się złu w sposób racjonalny, wolny od chęci zemsty.

Postacią ważną dla mojego pokolenia jest błg. ks. Jerzy Popiełuszko, który w stanie wojennym wzywał za św. Pawłem, by zło dobrem zwyciężać. Sądzę, że bez tych słów podkreślonych krwią księdza Jerzego rozwiązanie polskich konfliktów na drodze dialogu byłoby o wiele trudniejsze. W ostatnich tygodniach rozmawiamy często o Kijowie, gdzie polała się krew, o Ukrainie, o aktach bezprawnej przemocy, o zagrożeniach ze strony Rosji. W tradycję obu narodów ukraińskiego i rosyjskiego wpisane jest dziedzictwo pierwszych „strastotierpców" Borysa i Gleba. Niestety, wpisana jest także inna tradycja, tradycja przemocy i krwi. Podobno u naszych wschodnich sąsiadów imię księdza Jerzego kojarzono ze św. Jerzym, zwyciężającym smoka, symbolizującego zło, diabła. Ikony zwane „Cud o smoku" były czczone na całej Rusi: rycerz na białym koniu przeszywa włócznią smoka. W tradycji nowogrodzkiej występował szczególny wariant tej ikony. Jerzy galopujący na rumaku ma wysoko uniesioną włócznię, na której powiewa chorągiewka z krzyżem. W dolnej części ikony złowroga bestia prowadzona jest jak piesek przez ocaloną księżniczkę. Smyczą jest wstążka, symbolizująca modlitwę, zarzucona na szyję smoka. Księżniczka jest figurą Matki Bożej, przez którą dokonało się zwycięstwo nad szatanem. Potrzeba modlitwy, aby pamięć o krzywdach nie pogrążyła nas i naszych wschodnich braci w ciemności. Wspominałem w moich notatkach brata Rogera (w części III), założyciela wspólnoty w Taizé, gdzie trwa nieustająca modlitwa o pojednanie i pokój, podejmowana przez ludzi różnych wyznań i narodów. W prostej świątyni przed ikonami płoną liczne lampki. Chór intonuje śpiewy w różnych językach, powtarzane medytacyjnie. Czytana jest Ewangelia, po czym nastaje cisza. Znów powraca śpiew. W czasie jednej z takich modlitw w 2005 r. zginął brat Roger, ugodzony nożem przez fanatyczną, szaloną kobietę. Dostałem wtedy kartkę z Taizé. Na czarno-białej fotografii widać głazy, po których pnie się delikatna, kwitnąca roślina.

Michał Płoski
11.03.2014 r.

[4] św. Jan Klimak, *Drabina raju*, tłum. W. Polanowski, Kęty 2011, Wyd. M. Derewiecki, s. 181.
[5] Jak wyżej, s. 182.

Corrida

Andrzej Brzegowy

Gorący lipiec dawał się wszystkim we znaki. Z łąk i pól zniknęli gospodarze odurzeni długą pracą i południowym skwarem. Jedni pochowali się do chłodnych domów, by krótką drzemką dodać sobie sił, inni zasiedli na ławkach pod drzewami i chałupami, palili papierosy i rozmyślali, a ich żony zajęty się przygotowaniem obiadów. Zmęczony machaniem siekierą, ociekający potem, wyprostowałem grzbiet i rozejrzałem się wokół – żadnego ruchu poza drżącym, rozgrzanym powietrzem. Stojąca nieopodal jabłoń nęciła leżącą pod nią płachtą ciemnej zieleni. Trwałem chwilę w tej heroicznej pozie, czując spływający wraz z potem ból pleców, a potem ułożyłem się na trawie, rozpostarłem nad sobą szeroki parasol z jabłoni i oddałem snuciu planów. Zza przymkniętych powiek obserwowałem słońce, mrugające do mnie przez poruszane lekkim wiatrem liście. Ich cień masował mój brzuch, dając ulgę zmęczonemu ciału. Pomysły pojawiały się i odpływały jak chmurki na błękitnym niebie. Tylko ukryta w trawie orkiestra świerszczy wchodziła na wyższą częstotliwość dźwięku, grając swoją „Odę do radości". Czas zachwiał się i stracił impet.

Spojrzałem za siebie na stojącą kilka metrów dalej młodą i smukłą brzozę. Jej pień rozdwajał się na wysokości metra. Przesuwałem wzrok po białych dziewczęcych nogach brzozy, niknących w gęstwinie zielonej, kusej sukienki w drobne listki. Czasem wiatr poruszał od niechcenia ich gęstą materią i urealniał wyobrażenie. Zamknąłem oczy. Usta wygięły się w uśmiechu.

„Andrzeeej, ten skurwiel znowu się urwał i pognał w pole, leć no go zagoń z powrotem!" – słowa matki wyrwały mnie z odrętwienia, ale potężny kamień lenistwa nadal tkwił na brzuchu. Dźwignąłem się z trawy powoli, w nadziei, że moje wizje nie spadną ze mnie jak przejrzałe owoce z drzewa. Na nic się to jednak zdało. „Rusz się szybciej, bo jeszcze wpadnie pod samochód" – poganiała matka. Współczułem już każdemu pechowcowi prowadzącemu samochód mniejszy niż tir, na którego masce wyląduje to bydlę. „Który to już raz. Teraz to zabiję skurwysyna" – przyrzekłem sobie głośno. Wkroczyłem do obory, chwyciłem widły i ruszyłem powoli, dając sobie czas na skumulowanie wściekłości. Wysoka trawa na łące właziła w sfatygowane sandały i okręcała się wokół nóg, jakby chciała mnie zniechęcić do wykonania wyroku. „Ciebie też załatwię kosą" – pomyślałem. Przebrnąłem 200 metrów dzielących mnie od szosy, cały czas rzucając przekleństwami. Przeciąłem szybko asfaltową drogę, nie dając się zabić pędzącym samochodom. Zza ich szyb obojętnie spoglądały na mijany krajobraz kobiety, unoszone w wakacyjne marzenia przez mężów lub kochanków. Szedłem dalej, a wściekłość narastała. „Nie będę biegł" – myślałem, „Dorwę cię, choćbym miał przejść 20 kilometrów – nie będę biegł".

Zobaczyłem go stojącego pod lasem, który z małym, przylegającym do niego sosnowym zagajnikiem zamykał pola na szerokości jakichś 300 metrów. „Szosa cię nie zatrzymała, ale do lasu boisz się wejść" – pomyślałem. Szedłem krokiem równym i stanowczym, jak żołnierz, trzymając mocno widły w prawej dłoni. Przywitał mnie gniewnym sapnięciem. Chwyciłem widły w obie dłonie, zamachnąłem się mocno. Świst powietrza ciętego ostrymi widłami poprzedził głuchy dźwięk uderzenia metalu o jego zad. Przygiął tylną część swojego wielkiego ciała, machnął ogonem i potrząsnął łbem, wywalając wielkie gały. Odbiegł parę metrów i stanął czołem w moim kierunku. U jego szyi zwisał strzęp postronka. Zabiegłem go od tyłu i znowu zamachnąłem się widłami. Nie czekał już na cios. Biegłem za nim w tumanach kurzu unoszącego się z polnej drogi. Po kilku metrach w prawym sandale pękł jeden z pasków,

przez dziurę w spodzie lewego czułem drobne kamyki i ostre, suche kawałki traw. Starałem się nie zgubić butów, a to opóźniało mój bieg. „Zaaabiijjję cię" – krzyczałem, „Niech cię tylko dorwę". Czterystukilogramowy byk bił kopytami w piach, którego kłęby unosiły się w powietrzu, oklejając moje spocone ciało i wysuszając gardło. Kaszlałem i plułem bryłkami piachu. „Będę cię gnał, aż się zmęczysz" – wołałem.

Biegliśmy tak kilkaset metrów, aż w końcu czterysta kilo zatrzymało się ziejące i spocone. Odrzuciłem widły i ostrożnie zbliżyłem się do jego łba. Metr od niego dopadły mnie obawy. „Może zaatakować" – podpowiedział mi rozsądek. Ciężko dysząc, długo staliśmy tak wpatrzeni w siebie, nienawidzący się nawzajem. Nie wiedziałem, co robić. W tym momencie bieganie za bykiem po polu wydawało mi się groteskowe. Odrzuciłem widły i powoli, wyciągając rękę, podszedłem do niego. Niepewnie chwyciłem za postronek. Szarpnął głową, ale nie wyrwał się. „Może i tobie wrócił rozsądek" – myślałem. Okręciłem postronek wokół lewej ręki, a prawą stanowczo klepnąłem jego bok. To był błąd. Pochylił łeb i gwałtownie ruszył do przodu, wyrzucając zad w górę. Zdążyłem chwycić sznur obiema rękami i wbiłem stopy w drogę. Byk parł do przodu, wyrywany postronek przypiekał mi dłonie, a moje stopy żłobiły w piachu dwie coraz głębsze bruzdy. Czułem całkowitą bezsilność i wściekłość, które odjęły mi strach. Puściłem sznur i całym ciężarem rzuciłem się na jego łeb, chwytając dłońmi za rogi. „Bierz byka za rogi" – przemknęło mi przez głowę. „Jeszcze cię stać na sarkazm, głupcze" – skarciłem się natychmiast. Wleczony przez zwierzę, z całych sił przekrzywiałem jego łeb na bok, aż w końcu, ku mojemu zdziwieniu, byk zatrzymał się i poddał. Charczałem i plułem piaskiem, on tarł racicą tylnej nogi o ziemię. Czułem mdły zapach jego mokrej od potu skóry. Traciłem siły, ale po kilku sekundach byk opadł na kolana. Trwaliśmy w tym uścisku długą chwilę, obaj tak samo zmęczeni. Poczułem, jak na moją prawą nogę cieknie struga byczej śliny. Z kościoła oddalonego o dwa kilometry rozległ się południowy dzwon. Jego wieżę wystającą z kępy drzew widać było na małym wzniesieniu.

Zastanawiałem się, co robić. Nic nie przychodziło mi do głowy, ręce drętwiały z wysiłku, a dłonie paliły od trzymanego wcześniej sznura. Czułem intensywny zapach, ale dopasowanie go do konkretnego obiektu zajęło mi dłuższą chwilę. Tak jakby to pozwalało zapomnieć o sytuacji, z której nie potrafiłem znaleźć wyjścia. „Rumianek!" – prawie krzyknąłem w myślach. Moje nogi tkwiły w kępie tej rośliny, stratowanej przeze mnie i byka. Pomiędzy palcami prawej stopy sterczał nawet jeden urwany kwiatek.

– Trzymoj go mocno! – usłyszałem głos z tyłu. Dopiero teraz zauważyłem, że znajdowaliśmy się już przy drodze, na której zatrzymał się wóz zaprzężony w siwego pękatego konia, opędzającego się od much ogonem długim do ziemi. Woźnica stał na wozie i patrzył w naszą stronę. Był krępy i brązowy jak wędzona szynka, ubrany tylko w szorty, na jego głowie tkwił dziurawy słomkowy kapelusz.

„Człowieku, ruszaj się" – pomyślałem, ale krzyknąłem: – Niech pan pomoże!

Ruszył się, nim wypowiedziałem prośbę. Zeskoczył z wozu i zakręcił lejce na kłonicy. Szedł w naszą stronę bez pośpiechu, a kiedy już znalazł się obok, popatrzył na zwierzę i rzekł: – A kto to wiąże byka za szyję? – i było to raczej stwierdzenie naszej – matki i mojej – lekkomyślności, niż pytanie.

Zdjął sznur z szyi byka i z dużą wprawą zawiązał go wokół rogów. Szarpnął postronek obiema rękami, aż byk wykręcił w bólu łeb i zobaczyłem wywalone białka jego oczu. – Wiązaliśmy go tak, ale szarpał się i przetarł skórę, dlatego matka prosiła, żeby wiązać za szyję – usprawiedliwiałem się.

– Ni ma się go co żałować, przynajmniej będzie pokorny – brzmiała jego odpowiedź. – Chyć za sznur – dodał, podając mi postronek. Lewą ręką złapałem sznur, a prawą, nie wiadomo dlaczego, bo moment był na to nieodpowiedni, wyciągnąłem, by powitać wybawiciela. Podał mi swoją prawicę, którą potrząsnąłem z wdzięcznością. Była szorstka, sucha i twarda jak kawał dębowej gałęzi.

Gdy tylko byk poczuł trochę swobody, szarpnął głową. Byłem na to przygotowany. Zwierzę musiało poczuć ból, bo natychmiast stanęło i opuściło łeb aż do ziemi. Znałem tę jego reakcję z naszych wcześniejszych zmagań i wiedziałem, że ciągnąc go zbyt silnie, spowoduję tylko narastający opór aż do całkowitego znieruchomienia tego wielkiego cielska. Co mu wtedy strzeli do łba? Nie wiedziałem. Poluzowałem naprężony sznur. Podszedłem bliżej, pozostały kawałek okręciłem wokół pyska i zawiązałem porządny supeł. – Tak będzie lepiej – powiedział stojący jeszcze obok woźnica. – Trzymosz? – spytał. Nim potwierdziłem, mocniej ścisnąłem prawą dłonią postronek tuż przy nozdrzach byka. Klepnął go w zad i zwierz powoli i opornie ruszył do przodu. Szarpał co chwilę łbem, jakby sprawdzał moje siły, ale szedł dalej. Czuł za sobą człowieka w słomkowym kapeluszu, jego twardą i bezwzględną rękę.

– Dziękuję panu za pomoc, dam już sobie radę – powiedziałem do niego, nie odwracając na wszelki wypadek głowy. Nie chciałem, by byk poczuł jego brak za sobą, co mogło wywołać kolejne kłopoty. Usłyszałem tylko klepnięcie jego dłoni o byczy zad, a chwilę później trzask bata i głośne: – Wiooo! Deski chłopskiego wozu uderzały o siebie na wybojach coraz ciszej i ciszej, aż zupełnie zamilkły.

Ja i byk szliśmy powoli dalej przez łąkę w kierunku szosy, szarpiąc się i zatrzymując co chwilę.

***

Stary traktor prowadzony pewną ręką przez kierowcę, z pomocnikiem i mną usadowionymi na błotnikach wielkich kół, wlokący przyczepkę z bykiem, zajechał na teren skupu i zatrzymał się w kolejce. Przed nami na wozie wyściełanym słomą leżała maciorka. Krągła i pogodna, wydawała niegroźne pomruki i chrząk-



fot. S.Z.Kamieński

Andrzej Brzegowy
Urodzony 15 lutego 1962 r. w Radomiu. Studia w latach 1987–1992 na Wydziale Grafiki Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (obecnie Akademia Sztuk Pięknych) w Łodzi. Dyplom w 1993 r. w pracowni drzeworytu prof. Andrzeja Bartczaka, aneks w pracowni malarstwa prof. Juliusza Narzyńskiego. Obecnie zatrudniony na stanowisku profesora nadzwyczajnego na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu. Prowadzi zajęcia z rysunku i grafiki warsztatowej.
Twórczość w zakresie malarstwa, grafiki, rysunku i rzeźby. Brał udział w około 68 wystawach zbiorowych oraz zorganizował osiem wystaw indywidualnych.
Publikowany tekst jest debiutem literackim Andrzeja Brzegowego i stanowi fragment większej całości.

nięcia, jakby przygotowywała się do wygłoszenia mowy. Kiedy ją ściągano z wozu zaczęła piszczeć i trząść tłustym ciałem, zawiedziona mało elegancką obsługą. Po jakimś czasie podszedł do nas człowiek prowadzący skup i nakazał jechać pod wagę. Byk zapierał się przy wychodzeniu z przyczepy, zmuszając nas do kolejnego wysiłku. Dał się w końcu doprowadzić i przywiązać do drewnianej belki nabitej na kilka słupów wkopanych w ziemię. Co jakiś czas słychać było przeraźliwy, zniekształcony strachem ryk jakiegoś zwierza. Strach widać było w oczach każdej sztuki bydła stojącej na placu. Milczeliśmy. Wreszcie przyszedł ten sam człowiek, który wcześniej wskazał nam wagę, i wręczył kierowcy traktora ostemplowany kwit. Wskoczyliśmy na maszynę i szybko ruszyliśmy w powrotną drogę. Spojrzałem jeszcze za siebie na plac pełen zwierząt i dostrzegłem w tej gromadzie naszego byka, stojącego trochę z boku, z pochyloną głową. To był koniec naszych zmagań, gonitw po polach w kurzu i przekleństwach. Jeszcze jakiś czas dochodziły do nas zwierzęce porykiwania, dopóki nie wjechaliśmy do sosnowego lasu. Tam poczułem, jakby mi wetknięto zatyczki do uszu. Przebijał się przez nie tylko stukot dzięciołów wystukujących w pniach drzew swoje telegramy. Być może w świecie zwierząt rozchodziła się właśnie informacja o ostatniej podróży ich niepokornego i zarazem tchórzliwego pobratymca, który zawsze zatrzymywał się przed lasem, tym swoistym urzędem komunikacji zwierzęcej, nie umiejąc przekroczyć jego progów.

Siedzieliśmy z matką przy stole w kuchni. Wieczór był duszny, mimo że po południu powietrze trochę się rozrzedziło. Żaby obwieściły swoim przeciągłym rechotaniem początek nocy. Pies rozciągnął się na progu kuchni i przedpokoju, ułożył łeb na przednich łapach i trwał tak z zamkniętymi oczami. Tylko od czasu do czasu poruszał uszami, żeby odpędzić natrętne muchy. Otwarte drzwi domu zwabiły stada owadów do rozświetlonego wnętrza. Ich roje kłębiły się wokół kuchennej żarówki. Co jakiś czas rozlegało się nasze leniwe klepnięcie dłoni o ciało, zamykające komarom ich krótkie i niepotrzebne życie. Matka niezdarnie trzymała w zesztywniałych od pracy dłoniach ołówek. Zmarszczyła czoło, głęboko zamyślona. Miała przed sobą kwit ze skupu za byka i cienki zeszyt w kratkę. Zwykle zapisywała w nim pogodę każdego dnia pomiędzy czerwcem a sierpniem. Dni letnich miesięcy odpowiadały dniom miesięcy zimowych. W ten sposób określała pogodę pół roku naprzód. Teraz pisała koślawe cyfry, cicho wypowiadając jakieś słowa. Patrzyłem na matkę i milczałem. Po całym dniu pełnym obrazów, dźwięków, rytmów, zapachów chłonąłem ten moment bezmyślności razem z dymem palonego papierosa.

Ręce matki kreśliły cyfry i ustawiały je w słupki. – Dwa tysiące – nowy piec do kuchni – mówiła; dym z papierosa zakręcił się w powietrzu i rozczepił na kilka wstążek. – Osiemset – kołdra – wstążka zadrżała od silniejszego podmuchu powietrza wpadającego z dworu. – Osiemset – cement na schody. Nowe wiadro do studni i łańcuch – czterysta; dym wciągnięty do płuc połaskotał przyjemnie, a popiół z papierosa spadł na stół. Ostrożnie zgarnąłem go ręką do popielniczki. Starannie strzepnąłem papierosa i znowu się zaciągnąłem. Spojrzałem za okno, gdzie błyskały słabe światła żarówek w domach sąsiadów. Wzrok powędrował w górę w poszukiwaniu gwiazd. Będą gwiazdy – będzie jutro pogoda. – Węgiel na zimę – jakieś dwa i pół tysiąca – matka ciągnęła swoją wyliczankę. Zgasiłem papierosa w popielniczce. – Paszę dla kurcząt też by trzeba kupić – dwieście, a i tobie też by się co przydało – niby spytała, niby stwierdziła i podniosła na mnie zmęczony wzrok. Czekała, aż zareaguję. Ziewnąłem ze znużenia, aż mnie rozbolała szczęka. – Niczego nie potrzebujesz? – jeszcze raz spytała. – Spać mi się już chce – powiedziałem w kierunku okna. – Weź no ty policz, bo mi wychodzi, że nie starczy – poprosiła. – Jutro to zrobię – odpowiedziałem leniwie. Pogrążyła się w zniechęceniu. Chwilę jeszcze patrzyła na kartkę niezdecydowana, w końcu zmęczonym głosem poleciła: – Zapal światło na ganku i zgaś w domu, niech ta zaraza wyleci – podniosła się ciężko, zrobiła prawą ręką na piersi zdawkowy znak krzyża i utykając, skierowała się do pokoju.

Wyszedłem na ganek, wcześniej gasząc światło w domu. Zapaliłem następnego papierosa, siadłem na pokruszonych stopniach schodów i wbiłem wzrok w czarną przestrzeń przed domem. Beton schodów był jeszcze ciepły od słońca. Wokół zapalonej nad drzwiami wejściowymi żarówki owady kreśliły serpentyny, beczki i pętle. Tuż przy niej na ścianie przysiadły dwie ćmy. Wyrzuciłem niedopalonego papierosa w trawę przed domem. Przez chwilę widziałem jeszcze jego gasnący ognienek. Gdzieś w oddali rozległo się stłumione szczekanie psa. Długo i żarliwie wyrzucał z siebie swój żal, którego powodów nie mogłem znać. Delikatny dreszcz przeszedł po moich plecach, gdy tuż pod schodami, na skraju wydeptanego skrawka ziemi i rzadkiej wypalonej słońcem trawy dostrzegłem szare i grudkowate ciało ropuchy. Łypała w moim kierunku czarnymi ślepiami, niemal całkowicie nieruchoma. Gdyby nie owe ślepia i delikatnie poruszający się brzuch mogłaby uchodzić za bryłkę ziemi. „Bryło ziemi nie gap się tak przeraźliwie" – pomyślałem i wszedłem do domu. Czułem już szum w głowie. Położyłem się do łóżka. Telewizor na komodzie mamił kolorami. Włączyłem lampkę i sięgnąłem po blok rysunkowy, tusz i piórko. Zwykle co wieczór robiłem jeden lub dwa rysunki, żeby umocnić w sobie potrzebę snu, a jednocześnie oczyścić głowę z zalegających w niej kształtów. Leżałem chwilę, wpatrzony w biały ekran kartki. Kreśliłem nieśpiesznie linie, aż zaczęły układać się w konkret. Po kilku minutach na papierze pojawiło się parę elementów, wśród nich – głowa byka. Podpisałem rysunek i odłożyłem na bok. Zgasiłem telewizor i zamknąłem oczy. Przez chwilę patrzyły na mnie matowe oczy ropuchy, podobne do paciorków różańca matki. Świerszcze za oknem ciągnęły swój nieustający koncert.

Andrzej Brzegowy
luty 2011

Odręczne listy

Anna Spólna

Wiesław Myśliwski to pisarz wybitny, jeden z niewielu, którego książki kupuję bez uprzedniego czytania. Tak się stało i tym razem, choć po raz pierwszy myślę, że się pośpieszyłam.

1. Miłośnicy książek autora *Kamienia na kamieniu* nie będą zapewne rozczarowani. W najnowszej rozpoznają kolejną odsłonę dzieła totalnego, usiłującego objąć całość ludzkiego doświadczenia, nazwać i określić mechanizmy godzenia się z przemijaniem, klęską, życiem niespełnionym, choć jedynie możliwym. Wysmakowane opisy przedmiotów wskrzeszanych w pamięci wspominającego, wyraziste portrety postaci drugoplanowych (Romeo) wypełniają powieść od pierwszej do ostatniej stronicy. Sieć powiązań z poprzednimi powieściami jest gęsta i już samo ich rozplątywanie zapewnić może lekturową przyjemność. Nieobecność ojca, silna osobowość matki, dzieciństwo na prowincji, talent artystyczny traktowany jako skaza raczej niż znamię wybrańca, inicjacyjna podróż pociągiem do wielkiego świata, wielka miłość z młodości, starcze osamotnienie – to tylko niektóre z nich. Narrator spotyka nawet syna tytułowego bohatera *Klucznika...*. Myśliwski pisze od lat tę samą książkę, a w jego upartym ponawianiu pytań o los i konieczność jest cierpliwa zgoda na brak odpowiedzi.

2. Autor włącza w powieść symboliczne sceny, których siłą jest sugestywne wprowadzanie perspektywy nadprzyrodzonej, otarcia się

o wyjaśnienie dręczącej bohatera tajemnicy ludzkiego przeznaczenia. Niedoszły samobójca z widmowym psem to odpowiednik narratora spacerującego ze swoim Oskarem nad urwistym brzegiem; poker na cmentarzu jest oczywistym odwołaniem kulturowym do toposu gry ze śmiercią (jego wcześniejsza odsłona, gra w zapałki z *Traktatu o łuskaniu fasoli*); spotkanie z kobietą w czerni nad brzegiem wody zapowiada nadejście kolejnego listu „z tamtej strony" (takie żałobne postaci przyśniły się bohaterowi *Traktatu...* w finale powieści).



3. Zamiast łuskania mamy prucie starych ubrań, zamiast poprawiania napisów na nagrobkach – przeglądanie zapisanych numerów telefonów i ulic. Wynurzenia sprzedawcy kapeluszy z poprzedniej powieści zastępuje tu filozofowanie nad butami, paltami, krawatami: „Charakter najmocniej odciska się w butach...", „pod względem garnituru każdy jest inny". Bez wątpienia, ale fakt, że każdy spogląda na świat przez pryzmat tego, czym się zajmuje, nie jest odkrywczy w żaden sposób. Nie dowierzam życiowej mądrości bohatera, który jest niespełnionym malarzem, niedoszłym rzeźnikiem, krawcem, opiekunem dziecięcym i psychologiem, a na dodatek bogatym biznesmenem (kolejne „interesy", opisane enigmatycznie, są tylko pretekstami otwierającymi retrospekcyjne dygresje – podobnie jak kartki z notesu). „Być sobą tak naprawdę nic nie znaczy" – deklaruje w pierwszym rozdziale powieści, by potem tylko utwierdzać się w tym przekonaniu. Człowiek bez właściwości, modernistyczna figura wyobcowania, okazuje się dla mnie zbyt mało wyrazisty, rozpływa się w potoku krągłych zdań.

4. Moje wątpliwości wynikają też z poczucia, że powieść nie przystaje do nerwowego tempa współczesności. I, wbrew pozorom, nie o powierzchownych zmianach cywilizacyjnych myślę. Notesy z adresami zastąpiły komórki i skrzynki mailowe, ale bardziej radykalne różnice ujawniają się w sposobie traktowania czasu. Myśliwski zrobił z bohatera zabieganego człowieka interesu, ale zamysł autorski stoi w jawnym konflikcie z temperamentem pisarskim autora *Ostatniego rozdania*. Jego wielkie powieści bazują bowiem na nieśpiesznej narracji, poprowadzonej kapryśnym tokiem wspomnień, zazębiających się skojarzeń, przywidzeń i snów. Co wydawało mi się siłą *Widnokręgu* czy *Traktatu...*, teraz budzi moje niedowierzanie. Autor *Pałacu* pozostaje doskonałym stylistą (z pewnymi wyjątkami, jak monolog sekretarki czy rozmowa z kobietą spotkaną w hotelu) i zapisuje bezbłędnie różne rejestry polszczyzny. Jednak pierwszoosobowa narracja z dużymi partiami mowy pozornie zależnej, przetykana listami od ukochanej, prowadzona z namaszczeniem, wyraźnie celebrowana jako akt ustanawiania tożsamości wydaje się ciągłym zagadywaniem dręczącej pustki.

***

Hymn na cześć pisanych ręcznie listów jest poniekąd *credo* autorskim: „Jakaż to różnica, ktoś powie, a dużo szybciej na maszynie, tym bardziej na komputerze, a o ileż wygodniej. Otóż istotna to różnica". I następuje *passus* o odczytywaniu emocji z kształtu liter, o znaczeniu wybranego papieru, koperty... Od dawna nie piszę listów. Może dlatego nie potrafię zachwycić się *Ostatnim rozdaniem*?

Anna Spólna

Wiesław Myśliwski, *Ostatnie rozdanie*, Znak, Kraków 2013



fot. archiwum

II Międzynarodowe Triennale Mediów Cyfrowych – Radom 2013

Mariusz A. Dański

Styczeń to dobry czas na podsumowania, zwłaszcza trzynasty i do tego poniedziałek. Niby dzień jak co dzień, a jednak człowiek rozgląda się, czy przypadkiem zza węgła nie wyskoczy mu pod nogi czarny kot... albo (zachowajmy w tej kwestii parytet) kocica. Tak też było w tym roku. Prawie w samo południe, bo o godz. 11, spotkali się uczestnicy, jurorzy i widzowie w sali nr 5 radomskiego multikina Helios, by poznać wyniki II Międzynarodowego Triennale Mediów Cyfrowych – Radom 2013. Wyniki były jak zawsze zaskakujące, przede wszystkim dla nagrodzonych, i do pewnego stopnia, kontrowersyjne dla jurorów. Dlaczego? Otóż cały proces głosowania i percypowania wydarzenia był, jak na media cyfrowe przystało, ograniczony wyłącznie do wirtualnej przestrzeni internetu. Paradoksalnie – taka forma była zarówno zaletą, jak i wadą prezentacji. Z jednej strony prace uczestników mogły dotrzeć do najodleglejszych zakątków naszej planety, z drugiej, forma pokazu w wielu przypadkach naruszała integralność poszczególnych projektów. Podczas uroczystego podsumowania przewodniczący jury prof. Aleksander Olszewski (pomysłodawca triennale) stwierdził, że ocena tak zróżnicowanych pod względem technicznym prac była dla jurorów niełatwym zadaniem. Działania młodych twórców zostały zdominowane nie tylko przez technologię, ale i dość oryginalne interpretacje pojęcia „wolność", będącego tematem konkursu.

Uczestnicy, jak przystało na młodych niepokornych twórców (w konkursie mogli brać udział wyłącznie studenci i absolwenci uczelni o profilu artystycznym), w sposób dość ra-

dykalny podjęli się zilustrowania tematu głównego.

Czy sobie z nim poradzili? Myślę, że tak, choć oceniając poszczególne prace, niejednokrotnie miałem wrażenie, że sposób interpretacji był, oględnie mówiąc, dość abstrakcyjny i luźno związany z tematem przewodnim.

Prace, które znalazły uznanie w oczach jurorów, to twórczość dojrzała, ale i w wielu przypadkach trudna w odbiorze dla osób nieprzyzwyczajonych do obcowania ze sztuką współczesną. Dobrym przykładem ilustrującym taką postawę może być jedna z wyróżnionych animacji, zgłoszona przez Przemysława Jeżmirskiego z ASP w Katowicach. Niestety, zarówno wersja zamieszczona w Internecie, jak i ta prezentowana podczas pokazu finałowego, ze względów technicznych zostały okrojone. Przede wszystkim ze względu fakt, że całość wizualizacji trwa 24 godz.! Ulotna w przekazie, nawiązująca do działań z pogranicza sztuki konceptualnej i suprematyzmu, polega na powolnie zmieniającym się monochromatycznym obrazie, zespolonym z nierzeczywistym, mechanicznym dźwiękiem. Piszę o tej pracy, ponieważ, ze względów technicznych, jako jedyna nie zostanie zaprezentowana w naszej miesięcznikowej galerii. Cóż, prezentowanie kadru z filmu, który będzie w całości czarny, biały lub szary, jest tyleż ciekawe, co w pewnym sensie absurdalne.

Wszystkich zainteresowanych twórczością młodych adeptów sztuki zapraszam do odwiedzenia strony triennale.uniwersytetradom.pl, zapoznania się z pracami i wyrobienia sobie własnego zdania na temat zaprezentowanych projektów. Polecam.

Z kronikarskiego obowiązku pozwolę sobie dodać, że do radomskiego triennale zgłosiło się 81 uczestników, którzy zaprezentowali 149 prac w kategorii „obraz statyczny" i 39 prac, w tym dwie dokumentacje wydarzeń i jedną stronę internetową w kategorii „obraz ruchomy".

Triennale organizowane jest przez Katedrę Mediów Cyfrowych i Fotografii Wydziału Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu.

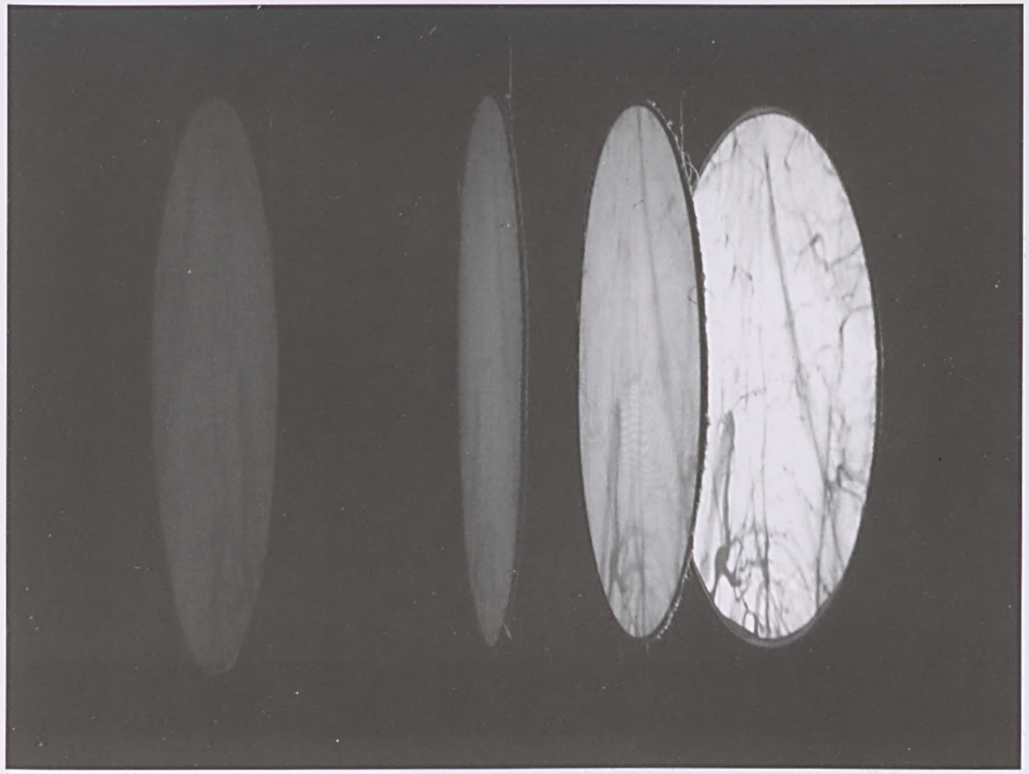
Jury II Międzynarodowego Triennale Mediów Cyfrowych – Radom 2013 postanowiło przyznać następujące nagrody:

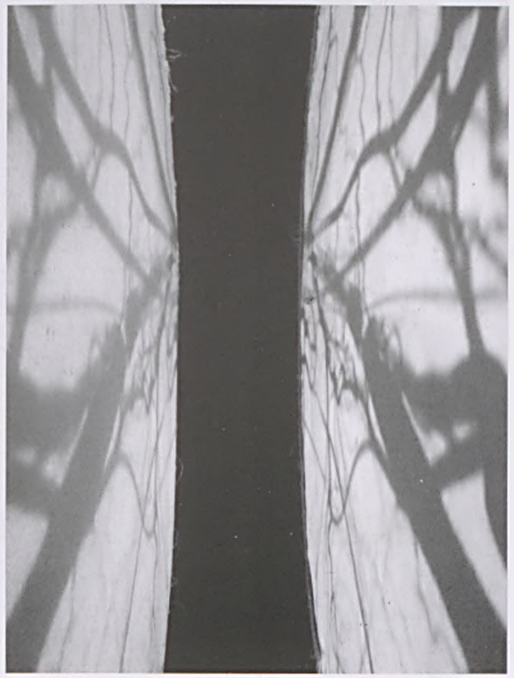
w kategorii obraz statyczny:

- Paweł Czarnecki – I nagroda
- Jakub Czyż – II nagroda
- Artur Wąsowicz – III nagroda
- Paweł Siodłok – wyróżnienie honorowe
- Maja Maciejko – wyróżnienie honorowe
- Alicja Czerwiak – wyróżnienie honorowe
- Michał Cygan – wyróżnienie honorowe prof. Adama Romaniuka,

w kategorii obraz ruchomy:

- Agnieszka Piotrowska – I nagroda
- Anna Pikuła – II nagroda
- Paweł Czarnecki – III nagroda
- Kamil Kocurek – wyróżnienie honorowe dra Grzegorza G. Zgrai
- Maja Maciejko – wyróżnienie honorowe
- Dawid Marszewski – wyróżnienie honorowe
- Anna Grabowska – wyróżnienie honorowe
- Łukasz Z. Woźniak – wyróżnienie honorowe
- Przemysław Jeżmirski – wyróżnienie honorowe dr. Darka Gajewskiego.

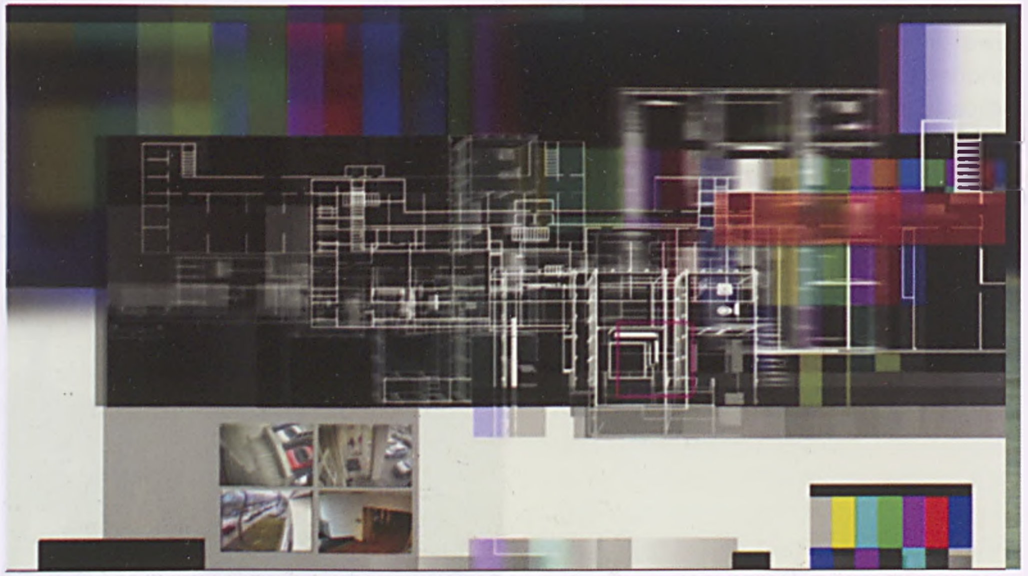




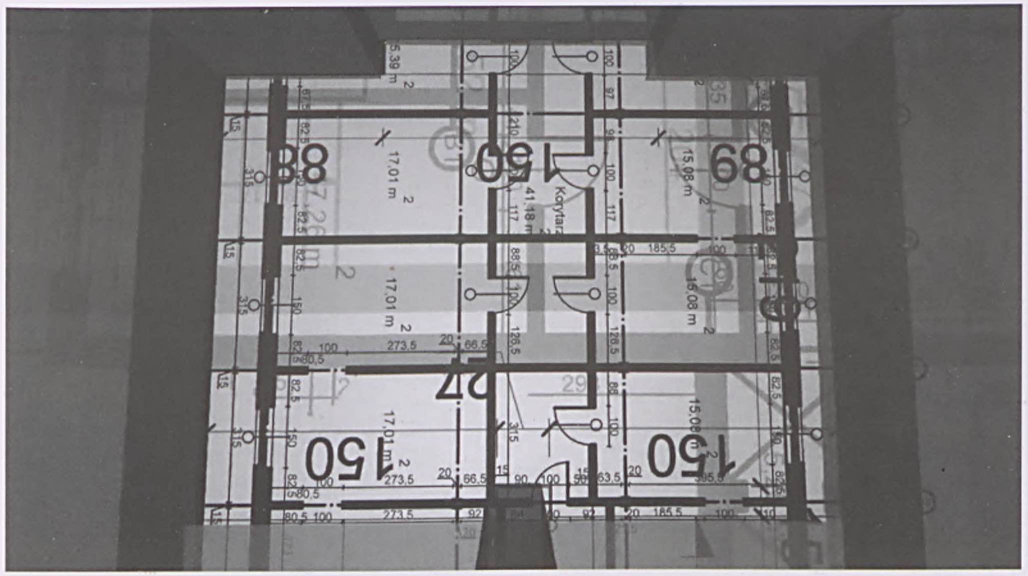
Agnieszka Piotrowska
Obserwowany, 2012, instalacja
(w kategorii obraz ruchomy - I nagroda)



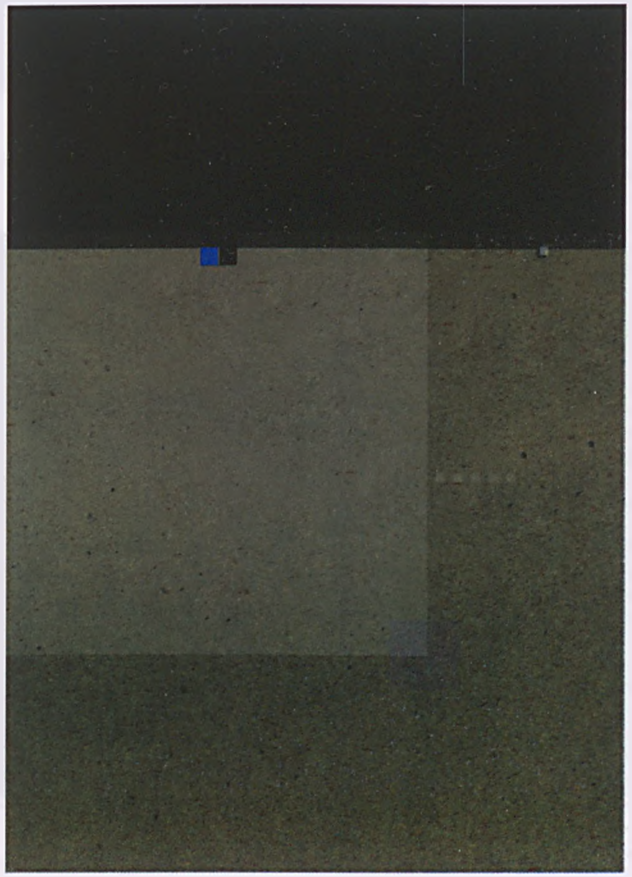
Dawid Marszewski, *Chodzę* (w kategorii obraz ruchomy - wyróżnienie honorowe)



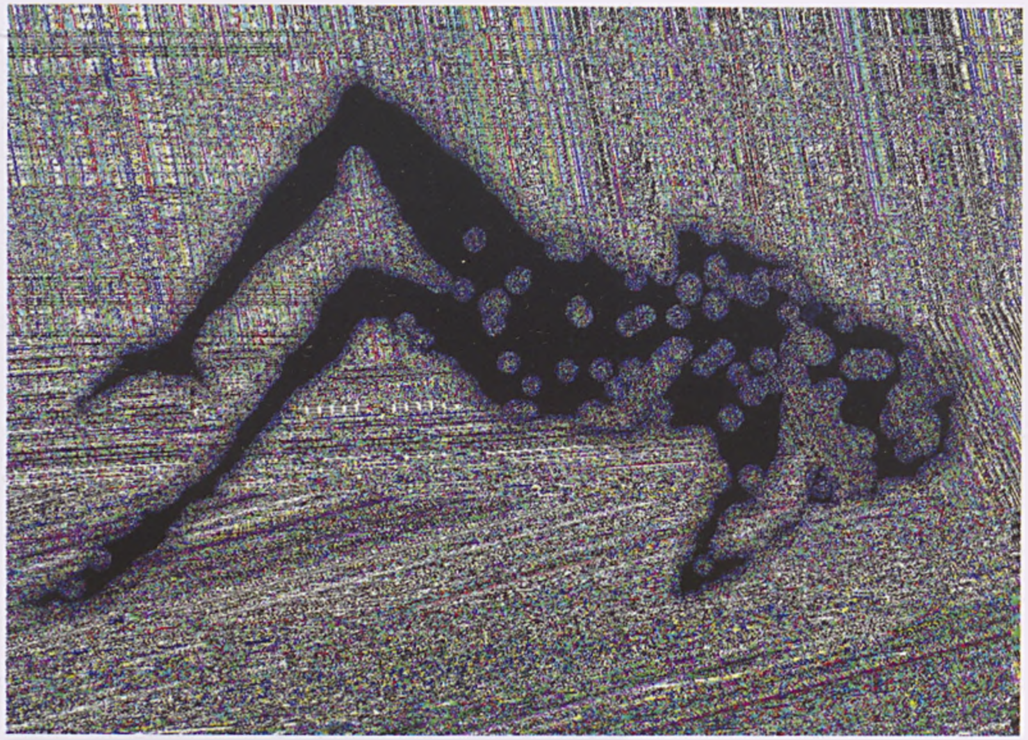
Kamil Kocurek, *Wolność spreparowana*
obraz zadrukowanej pleksi (101 x 180 cm), na której prezentowane jest video
(w kategorii obraz ruchomy - wyróżnienie honorowe dra Grzegorza G. Zgrai)



Łukasz Z. Woźniak
Labirynt
(w kategorii obraz ruchomy - wyróżnienie honorowe)



Artur Wąsowicz
Kompozycja wertykalna z linią II s
2011, grafika cyfrowa, 20 x 28,5 cm
(w kategorii obraz statyczny - III nagroda)



Jakub Czyż, *Leżę...*, druk cyfrowy, 100 x 140 cm (w kategorii obraz statyczny - II nagroda)



Maja Maciejko, *Forest 1* (w kategorii obraz ruchomy - wyróżnienie honorowe)





Paweł Czarnecki
Dziewczynka z zapałkami
(w kategorii obraz ruchomy - III nagroda)

Alicja Czerwiak
Wolność 3
grafika cyfrowa, 100 x 65 cm
(w kategorii obraz statyczny - wyróżnienie honorowe)



Anna Grabowska, *Akordeon* (w kategorii obraz ruchomy - wyróżnienie honorowe)



Michał Cygan, bez tytułu, grafika cyfrowa, 104 x 171 cm
(w kategorii obraz statyczny - wyróżnienie honorowe prof. Adama Romaniuka)



Maja Maciejko, *Mutual Core 1*, 2013, grafika cyfrowa 2033 x 3000 px (w kategorii obraz statyczny - wyróżnienie honorowe)

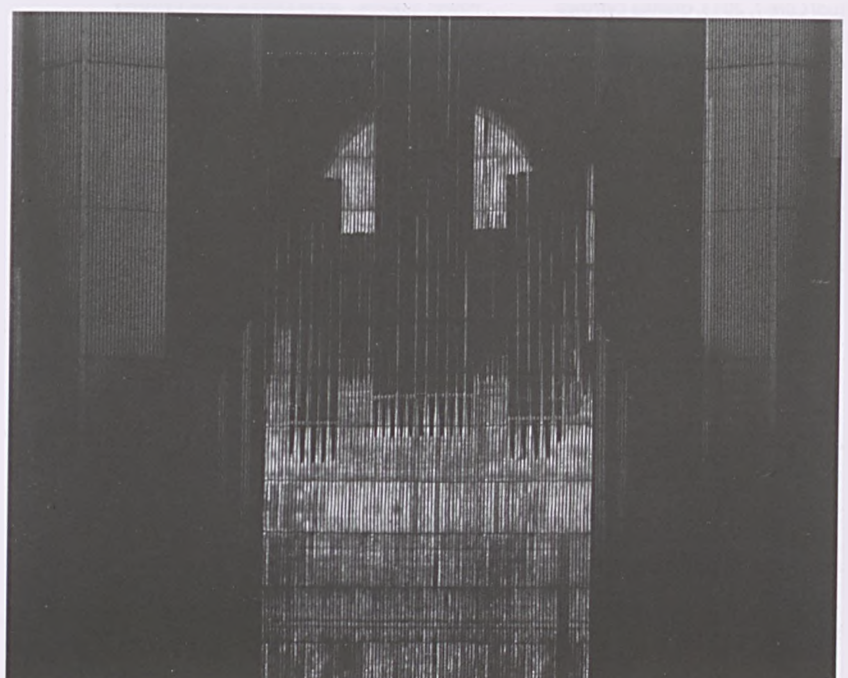


Paweł Siodłok, *Język ciała II*, druk cyfrowy 100 x70 cm (w kategorii obraz statyczny - wyróżnienie honorowe)



Anna Pikuła, *Dream Controller* (program - Marek Pikuła, muzyka - Marcin Pawlukiewicz)
(w kategorii obraz ruchomy - II nagroda)





Paweł Czarnecki, *Reaktor 1* i *Reaktor 2*, 2012, druk cyfrowy, 70 x 100 cm
(w kategorii obraz statyczny - I nagroda)

Oblicza Azji – dwugłos Lidii Ziemińskiej i Michała Sobola.

Notatki z wystawy

Toshihiro Hamano, współczesny malarz i grafik japoński, stwierdził kiedyś: „Gdy próbujemy podążać jakąś drogą, stwarzamy sobie poczucie wewnętrznej dyscypliny i niezależności. Doskonaląc ową dyscyplinę, możemy dotrzeć do świata nieograniczonej energii i nowych sił twórczych".

„Oblicza Azji" – wystawa z udziałem studentów (i nauczycieli) trzech szkół wyższych: Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Polsko-Japońskiej Wyższej Szkoły Technik Komputerowych w Warszawie oraz Wydziału Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu. Kurator wystawy – dr Zuzanna Gajos. Malarstwo, rysunek, rzeźba, tkanina artystyczna, plakaty, kolaże, obiekty przestrzenne i działania multimedialne powstały w okresie dwóch lat jako wynik wykładów i spotkań z wybitnymi specjalistami od Azji, jej kultury, religii, filozofii, etnografii czy przyrody. Ekspozycji towarzyszył katalog zaprojektowany przez Mariusza A. Dańskiego.

W swoim zainteresowaniu Wschodem wystawa wpisuje się w długą europejską tradycję: od pierwszego wielkiego odkrycia związanego z podróżami Marco Polo na Wschód (Roch Urbaniak poświęcił tej tematyce zabawny obraz pt. „Imć Marco Polo jedzie zdobywać świat"), po fascynacje w okresie rokoka i późniejsze w latach secesji. W latach 60. XX w. nastąpił kolejny powrót do źródeł: silne zauroczenie doskonałą kaligraficzną formą znalazło swój wyraz w malarstwie gestu i kaligrafizmu (Hans Hartung i Kline). Jednak artyści Zachodu nigdy nie przekroczyli, jak to określa Mircea Eliade, statusu przybysza z zewnątrz.

Radomską wystawę cechuje różnorodność wypowiedzi i duża liczba prac (ponad 100). Mnie szczególnie zainteresowało malarstwo pejzażowe.

„Maluję momenty zobaczone tylko przez chwilę lub motywy wielokrotnie oglądane, które nie dają o sobie zapomnieć [...]. Malowanie jest dla mnie podróżą poprzez żywioł ziemi i wody" – tak napisała o swoim obrazie „Deszcz" Katarzyna Celek. Inny pejzaż, autorstwa Justyny Smoleń, w syntetycznym ujęciu formy kojarzy się z nokturnem. Obraz w swej budowie jest bardzo prosty: płaszczyzna obrazu podzielona jest na trzy części: strefę nocnego, mrocznego nieba, płaszczyznę wodnej toni, po której ślizgają się nie wiadomo skąd pojawiające się blaski promieni księżyca, i strefę flory w postaci linearnie zarysowanych liści traw. Spokój i tajemnica. Surowa kolorystyka, ograniczona do czerni, szarości, brunatności i bieli, podkreśla harmonię zawartą w przyrodzie, jedność nieba, wody i ziemi, jedność żywiołów. Z kolei dużych rozmiarów obraz o jasnej, pogodnej kolorystyce, przedstawiający maleńkie drzewa i rzekę układające się na tle iluzyjnego pejzażu w formę łosia, to praca Magdaleny Kleszy-Fedkowicz. Jak twierdzi autorka w katalogu wystawy: „Wielu rdzennych mieszkańców Syberii wierzy w żywy wszechświat. Sądzą, że cała ziemia jest żywą istotą – wielkim łosiem lub klempą. Sierścią zwierza są drzewa, krwiobiegiem rzeki, a ludzie to wszy". Wieczorny pejzaż z wysp to kolejny obraz, który zatrzymał mnie na dłużej. Jak napisał o nim autor Juliusz Kosin: „Co w nocy wyłania się z miast? Porośnięta błyskami lamp i neonów powłoka. Aglomeracje po zmroku [...] przypominają raczej grafikę muzyczną, chaotyczny układ plam i znaków, który spróbowałem przy pomocy języka malarskiego odczytać i przetransponować". Wszystkie cztery prace zawierają pierwiastek kontemplacji, tak bliski sztuce Dalekiego Wschodu.

Zwraca uwagę świeżość kolorystyki w nawiązujących do formy mandali batikach Kamili Gruszeckiej i cyklu ośmiu niewielkich obrazków Martyny Kamińskiej. Te przedstawiające jedną z dzielnic Tokio prace uwodzą patrzących doskonałą kompozycją i niezwykłym klimatem. To swobodna, liryczna impresja miej-

ska w technice druku cyfrowego (fotografie zostały uprzednio przetworzone w programie graficznym).

Zupełnie odmienne treści zawiera praca „Zakazana Rodzina". To zakazany ród – w zarezerwowanej dla cesarza kolorystyce misternie wykonane tła medalionów z portretami dzieci niepełnosprawnych. To osoby wyklęte, niechciane. Autorka Berenika Kowalska podaje tragiczne przykłady związane z ich losem w Chinach i Korei Północnej.

Wiele prac malarskich opartych jest na motywie koła, symbolu charakterystycznym dla kultury Dalekiego Wschodu, nawiązującym do mandali, symboliki Państwa Środka lub do początku i końca wszystkiego, lub też do jin i jang, uzupełniających się i tworzących harmonię i jedność. Uwagę zwraca obiekt „Korea" złożony z dwóch kul: jednej lśniącej, białej i gładkiej z niepokojącą smugą światła dostającą się do środka oraz drugiej – czarnej i najeżonej kolcami z jasnym, kolorowym wnętrzem (można zajrzeć do środka kul przez niewielkie otwory). Artystka Emilia Malara zderza dwa światy – Koreę Południową i Północną – dla niej oba są jednakowo warte poznania.

Małe zakorkowane buteleczki, zawieszone w przestrzeni na wzór dzwonków wiatrowych, to instalacja „Haiku" autorstwa Beaty Rączki. Jak możemy się domyślać, umieszczone w buteleczkach małe zwitki zawierają haiku. Słowo „haiku" określa krótką, klasyczną kilkuwersową japońską formę poetycką, XVII–XIX-wieczną bądź współczesną do niej nawiązującą. W Polsce mogliśmy przekonać się o jej pięknie i ulotności z przekładów Czesława Miłosza. Po zeskanowaniu przyczepionych do buteleczek kodów możemy poznać treść haiku wybranych przez B. Rączkę. W tym wypadku odkodowywanie znaczeń zostało potraktowane dosłownie.

Osobną salę zajmują plakaty, bardziej lub mniej politycznie zaangażowane, wykonane przez studentów Polsko-Japońskiej Wyższej Szkoły Technik Komputerowych w Warszawie. Najbardziej przeze mnie zapamiętany to lapidarny komunikat Michała Dąbrowskiego „W Chinach nie ma cenzury".

Miałam jednak nieodparte wrażenie, że niektóre prace były pozbawione związku z tematem wystawy i znalazły się tu jakby przypadkiem.

Wystawa była prezentowana w Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu 24.01–16.02.2014 r., będzie można obejrzeć ją jeszcze w październiku w Galerii ASP „Bronowice" w Krakowie.

Lidia Ziemińska

Azja ma jedno oko

Azja ma jedno oko. Tak, to obraz z „Pana Wołodyjowskiego" Henryka Sienkiewicza, posłużmy się nim w próbie myślenia o Wschodzie, a pośrednio, poprzez odbicie w Innym, o nas samych, mieszkańcach Zachodu. Wiek XX przyzwyczaił nas do poszukiwań cech typowych dla człowieka w tym co nieświadome, wyparte, nieprzemyślane, przykładem mogą tu być odkrycia współczesnej psychologii, neurobiologii czy kogniwistyki. Proponuję iść dalej tym tropem i sięgnąć do spraw jeszcze bardziej podstawowych, do samej fizjologii widzenia dwojgiem oczu. Poprzez ułożenie oczu po jednej stronie czaszki u ssaków naczelnych doszło do zawężenia pola widzenia, dzięki temu jednak pojawiła się możliwość zmysłowego uchwycenia głębi, trzeciego wymiaru, co, jak podkreślają ewolucjoniści, ułatwiało poruszanie się w środowisku leśnym. Drugie oko zaczęło spełniać funkcję korektora, poprawiacza przekształcającego obraz płaski, odbierany jednym okiem, w obraz trójwymiarowy. Zarazem jednak zaczęła się rysować możliwość podziału całej rzeczywistości na dwie sfery, co stało się faktem w religijnej myśli Zachodu, wprowadzającej ostry podział na świat zmysłowy i nadzmysłowy, będący instancją kontrolną, sprawującą władzę; podział ten nie ominął także człowieka. Cała metafizyka Zachodu, a co za tym idzie nasz sposób postrzegania świata, opiera się na mających tu źródło opozycjach: byt/nicość, dusza/ciało, duch/materia, dobro/zło, podmiot/przedmiot. Celem myśli religijnej było oczywiście dowartościowanie sfery nadzmysłowej, duchowej. Pośrednio jednak taki ostry podział rzeczywistości przyczynił się do możliwości ujęcia całej sfery zmysłowej, materialnej w sposób czysto instrumentalny, co w konsekwencji doprowadziło do współczesnego rozwoju techniki. Widzimy tu wyraźnie, że myśl religijna jest nie tylko odpowiedzialna za nasze rozumienie ducha, ale też za rozumienie przez człowieka Zachodu materii jako tworzywa do dalszej obróbki. Najciekawsze jest może to, że właśnie dzięki pozostawaniu przy tak archaicznej „filozofii drugiego oka" możliwy był techniczny postęp Zachodu.

Jedno oko Azji oznacza zerwanie z tak naturalną filozofią zanurzoną w fizjologii naczelnych i próbę uchwycenia jedności świata, w kórym podziały na ducha i materię, byt i nicość, przedmiot i podmiot ulegają zniesieniu. Jedno oko Azji, obecne w filozofii jako trzecie oko symbolicznie umieszczane na czole, nie jest więc po prostu okiem duchowym. Takie rozumienie jest właśnie próbą myślenia o Wschodzie kategoriami Zachodu. Jedno oko oznacza tu raczej wysiłek ominięcia dualizmu „drugiego oka" i stanowi wobec „naturalnej" metafizyki Zachodu znaczący postęp, który, paradoksalnie, uniemożliwiał cywilizacjom Wschodu instrumentalne traktowanie materii jako tworzywa, a więc także postęp technologiczny, tak charakterystyczny dla świata zachodniego.

Martin Heidegger, który, może jak żaden inny filozof, starał się prześledzić źródła zachodniej metafizyki, w dialogu „Z rozmowy między Japończykiem a pytającym" wciąż przestrzega przed zacieraniem tak zarysowanych tu różnic. Próbując uchwycić istotę dalekowschodniej sztuki, dwaj rozmówcy, reprezentanci Wschodu i Zachodu omawiają kluczowe dla japońskiej estetyki pojęcie Iki, tłumacząc je jako „zmysłowe świecenie". W tym miejscu, gdy dla Europejczyka pojawia się perspektywa rozróżnienia na świat zmysłowy i nadzmysłowy, Japończyk czyni uwagę: „Wskazując na dominującą w metafizyce różnicę, dotknął Pan źródła niebezpieczeństwa, o którym mówiliśmy. Nasze myślenie, jeśli tak to mogę nazwać, zna mianowicie coś podobnego do różnicy metafizycznej; mimo to samego odróżnienia, a wraz z tym tego, co w nim odróżnione, nie da się ująć w zachodnich, metafizycznych pojęciach. My mówimy Iro, tzn. barwa i mówimy KU, tzn. pustka, Otwarte, niebo. Mówimy: bez Iro nie ma Ku".

Michał Sobol

Wystawa „Oblicza Azji" stała się inspiracją dla napisania przez autorów związanych z Radomiem dwóch tekstów: recenzji wystawy pióra Lidii Ziemińskiej i tekstu filozoficzno-teoretycznego, który był wcześniej zamieszczony w katalogu tej wystawy, autorstwa Michała Sobola.

Lidia Ziemińska
Uprawia tkaninę unikatową, malarstwo, ilustrację, rysunek. Studia na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w latach 1993–98. Otrzymała nagrody za twórczość w dziedzinie malarstwa i tkaniny artystycznej (nowatorskie rozwiązania). Należy do Okręgu Warszawskiego ZPAP. Jej kolaże pokazywaliśmy w „MP" nr 2/137 z 2013 r. Pisze wiersze (debiut w „MP" nr 3/132 z 2012 r.). Mieszka w Radomiu.

Michał Sobol
Pisze wiersze i inne teksty literackie. Ukończył filozofię i historię Kościoła w Krakowie. Publikował w „NaGłosie", „Twórczości", „Kresach", „Studium", „Lampie", wydał zbiory wierszy: *Lamentacje* (2001), *Działania i chwile* (2007), *Naturalia* (2010), *Pulsary* (2013). Laureat nagrody im. Kazimiery Iłłakowiczówny za najlepszy debiut poetycki roku i Nagrody Literackiej Miasta Radomia 2013; tłumaczony na hiszpański, kataloński i angielski. Jego wiersze publikowaliśmy w „MP" nr 6/141 z 2013 r. Urodził się w Cerekwii k. Radomia, mieszka w Zabierzowie Bocheńskim.

Nie umarła jeszcze Ukraina[1]
– fragmenty zapisów na blogu http://slovovolyni.com/ukr/blog/30/14322/

Wasyl Słapczuk

4.12.2013

Powszechnie znane jest powiedzenie Carla von Clausewitza, że wojna to jedynie kontynuacja polityki innymi środkami. Bezsprzecznie, i (Euro)majdan – też jest kontynuacją polityki innymi metodami [...]. Istnieje wiele technologii ideologicznego ogłupiania i rozmiękczania mózgów (jesteśmy stale narażeni na różnego rodzaju wpływy; nie jest łatwo odróżnić osobiste szczere przekonania od cudzych obsesyjnych myśli przenoszonych jak katar). Ale nie istnieje technologia przywracająca ludzi kalekich do pełni zdrowia i nie ma technologii wskrzeszania umarłych. O tym trzeba pamiętać, biorąc na siebie odpowiedzialność za ludzi. Jeśli teza, że ludzkie życie jest największą wartością nie jest aksjomatem, to stawia to pod znakiem zapytania wszelkie inne wartości.

Są jednak rzeczy (idee), które człowiek ceni bardziej niż własne życie. To cześć i godność.

Właśnie te uczucia uniosły ludzi i przyprowadziły na Majdan. Daje się zauważyć (chociaż nie wszędzie), że znaczna część społeczeństwa poziomem świadomości przerosła poziom świadomości swoich przywódców. I tych, co przy władzy, i tych z opozycji.

W tym momencie to, być może, smutne. Ale w ogóle – rodzi optymizm.

Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

15.12.2013

Ludzie przez lata żyli w śmiertelnym strachu i strach ten był przekazywany z pokolenia na pokolenie, zmieniał jedynie formę w zależności od fizjonomii wodza i stopnia represyjności nieuchronnej kary. Jeśli to prawda (nie mam możliwości sprawdzenia tych doniesień), że w moim rodzinnym horohowskim rejonie zapełniają autobusy nauczycielami i wiozą do Kijowa na antymajdan, to jest to objawem tego strachu: i władzy, która to organizuje, i ludzi, którzy się na to godzą [...]. Jakie nadzieje możemy pokładać w przedterminowych wyborach (prezydenckich czy parlamentarnych), jeśli nie zajdzie zmiana w głowach: ludzie pójdą do urn z tym samym pokornym poczuciem przegranej, z którym teraz siadają do autobusów i wyruszają na antymajdan [...]. Władzę powinniśmy zwyciężyć rozumem. To jej słaby punkt. I jednością. To nasz słaby punkt. Ale Majdan pokazuje, że na tę naszą wrodzoną wadę istnieje lekarstwo. Nasza droga – to droga samoorganizacji i samouświadomienia, inaczej na zawsze pozostaniemy armatnim mięsem dla jakichś bossów, niezależnie czy będą reprezentowali władzę, czy opozycję.

18.12.2013

To, że berkutowcy wykonywali rozkaz, nie powinno nas niepokoić. Nas powinno trwożyć, kto i jakiego rodzaju rozkazy im wydaje [...]. Kiedyś z przerażeniem pomyślałem: a co, gdyby mnie nie wysłali do Afganistanu, a wcielili do jakichkolwiek wewnętrznych wojsk i uczynili konwojentem Wasyla Stusa [najwybitniejszy poeta ukraiński II połowy XX w. zamordowany w sowieckich łagrach – przyp. tłum.]?!

Ale Bóg był miłosierny... Bóg oszczędził.

Boże Narodzenie 7–8.01.2014

Większość z nas, jak śpiewa Ołeh Gazmanow, jest „zrobiona w ZSRR". Ten fakt nie może nie mieć wpływu na sposób naszego przeżywania świąt Narodzenia Chrystusa. Urodziliśmy się w kraju, z którego wygnano Boga. Zgodnie z ówczesnymi zwyczajami odmówiono mu zezwolenia na pobyt [...]. Generalnie tradycja Bożego Narodzenia trwała na wsi. Na wsi zachodnioukraińskiej. W mieście systematycznie zanikała, ponieważ należała do kultury ludowej, a miasto wyrażało siebie poprzez wartości cywilizacyjne. Co do Wschodniej Ukrainy, to tam ludowe tradycje zostały skasowane w nadzwyczajne prosty i skuteczny sposób – poprzez wyniszczenie samych wyznawców. Nie można nawet sobie wyobrazić, jak ludzie, którzy przeżyli Wielki Głód (*z ukr. Hołodomor*) w latach 1932–1933, z wszystkimi jego okropnościami (nie wyłączając kanibalizmu), mogli zachować wiarę w narodziny Zbawiciela i przystępować do sakramentu komunii, gdzie pod postacią chleba i wina spożywali ciało i krew Jezusa Chrystusa. Symbolika Eucharystii wywołuje sprzeciw w zestawieniu z dosłownością kanibalizmu.

Nie należy zapominać o królu Herodzie, który jedynie ze strachu przed konkurencją rozkazał w Betlejem i w całej jego okolicy wymordować wszystkie dzieci, które miały mniej niż dwa lata.

Dla nas jest to cena naszego zbawienia.

Dla Heroda – cena władzy.

16.01.2014

Na współczesnym etapie rozwoju ludzkości kultura jest tym, czym narody się różnią, a cywilizacja – tym, co narody jednoczy. Przynajmniej tak uważa G. Gaczew, który długo i rzetelnie badał „narodowe obrazy świata". Czasami terminy „kulturalny" i „cywilizowany" uważane są za tożsame. Na przykład w sytuacji, kiedy te pojęcia przeciwstawiane są dzikości i barbarzyństwu [...]. Nietolerancja jest oznaką „sowki" [sposób życia i myślenia będący pozostałością po Rosji sowieckiej – przyp. tłum.]. Za odmienne poglądy sowieci bezwzględnie karali. Siła bolszewików była zbudowana na ogromie zniszczeń. Wzięliśmy od nich metodologię jako broń. Bolszewik *a priori* nie zgadza się z oponentem, nawet jeśli w ogóle nie ma własnego zdania. Symbol bolszewizmu – Lenin. Pogański bożek. Znaczy – antybóg. Kraj zastawiony bożkami, a my obok budujemy cerkwie. Skąd to rozdwojenie? Kompletna dezorientacja (w jakim świecie my żyjemy?).

12.02.2014

Co do władzy, od początku prowadziła otwartą wojnę przeciwko własnemu narodowi – bez skrępowania i bez przebierania w środkach. W końcu wojna ta przekształciła się w terror. Zastraszanie, prześladowania, porwania, znikanie bez śladu, zabójstwa. Coś robiono rękoma państwowego aparatu represji, coś jakimiś tajemniczymi rękoma nieznanych sprawców. Od samego początku tam, gdzie nie istniały możliwości legalnego działania, władza sięgała po metody nielegalne, angażując po swojej stronie tak zwane tituszki [chuligani albo inaczej dresiarze; określenie pochodzi od nazwiska Vadyma Tituszki wynajętego przez służby specjalne do pobicia opozycyjnych dziennikarzy podczas obchodów Dni Europy w 2013 r. – przyp. tłum.]. I okazuje się, że niezależnie od tego, jakiej sprawiedliwości broniliby ludzie na Majdanie, mimo wszystko są przestępcami. I nieważne, jakiego bezprawia dopuściłaby się władza, prawo zawsze jest po jej stronie [...]. Na portalu „Ukraińskiej prawdy" natrafiłem na blog współczesnego filozofa Serhija Daciuka (polecam), który między innymi pisze i tak: „Bunt wywołują masy, rewolucję robią intelektualiści. Bez uprzedniej intelektualnej pracy rewolucja nie jest możliwa. Możliwy jest jedynie bunt – bezsensowny i bezlitosny. Żeby bunt stał się rewolucją, potrzebuje nowych idei, jako że stare teorie zużyły się i prowadzą do kryzysu" [...]. Po raz kolejny: ważne, by nie tylko pokonać smoka. Jeszcze ważniejsze, by po zwycięstwie nie przybrać jego postaci i nie przejąć jego natury.

19.02.2014

Tak się jakoś stało, że zasugerowano mi wpis na blogu, którego temat w przybliżeniu brzmiał: „Jak się ratować w trudnych czasach? Jak nie popaść w rozpacz? Co robić, kiedy nie wiadomo, co robić?". Każdy z nas miewa takie mo-

[1] Z hymnu narodowego Ukrainy, słowa Pawło Czubynskij, muzyka Michajło Werbyckij.

menty. Myślę, że znajdą się racjonaliści, którzy potrafią udzielić odpowiedzi na te pytania. Zresztą, są eksperci różnych profesji, którzy obowiązkowo powinni znać odpowiedzi – psychologowie, filozofowie, księża, babcie wróżbitki... kto tam jeszcze?... No tak, pisarze. Radzieckich pisarzy nazywali „inżynierami dusz" [...]. Biorąc pod uwagę aktualną sytuację na Ukrainie, a ta zaostrzyła się skrajnie, można odnieść wrażenie, że nasza miłość ku Ojczyźnie pozostaje nieodwzajemniona. Ale po pierwsze, nie można utożsamiać Ojczyzny z państwową władzą, a po drugie, nie mamy ukraińskiej władzy państwowej. To, co dzisiaj nazywa się państwową władzą, jest raczej jakąś komercyjną korporacją, klubem wrogich Ukrainie ludzi połączonych wyłącznie chęcią osiągnięcia materialnego zysku. Mamy wiele powodów do braku wiary i przygnębienia, ale zasadne i uczciwe będzie zabranie się za te „nie do podniesienia" bryły i wyciosywanie z nich budowlanych bloków. Musimy nastawić się na budowanie, a nie burzenie.

26.02.2014
W czasach sowieckich wprowadzono zwyczaj, zgodnie z którym 23 lutego w szkołach dziewczęta dawały chłopcom podarunki. Święto to nazywano „Dniem Radzieckiej Armii i Floty Wojennej". W 1999 r. Leonid Kuczma „z uwagi na liczne wnioski organizacji pozarządowych i weteranów wojennych oraz z myślą o promowaniu edukacji patriotycznej młodzieży" podpisał zarządzenie o ustanowieniu na Ukrainie „Dnia Obrońcy Ojczyzny", który w kalendarzu wyznaczył na ten sam miesiąc i dzień [...]. Jak by to nie zabrzmiało paradoksalnie, bohater-obrońca Ojczyzny także potrzebuje obrony. Już teraz należy wymagać od państwa, aby w najbliższym czasie został określony status wszystkich tych, którzy ucierpieli na Majdanie [...]. Bo sam maraton dobrych uczynków i darowizn ze strony społeczeństwa problemu nie rozwiąże. To, że państwu teraz brakuje pieniędzy, jest okolicznością tymczasową. Prawdę mówiąc, na takiego rodzaju sprawy państwo nigdy nie miało pieniędzy. Obawiam się, że jeśli te problemy nie zostaną rozwiązane w sposób zorganizowany i systemowy, wkrótce poszkodowani na Majdanie zostaną zostawieni samym sobie.

Chciałoby się bardzo, aby ofiara Majdanu nie była daremną. Wszystkie pozytywne i negatywne doświadczenia dawnej i współczesnej historii Ukrainy powinny być dla nas nauką. Konieczne są jednak zasadnicze zmiany, konieczne precedensy. I jeśli jest we mnie jakiś optymizm odnośnie przyszłości, to czerpię go tylko z Majdanu. Pomimo niedawnych tragicznych wydarzeń, które wciąż jeszcze tak trudno przeżyć.

Celowo piszę, unikając patosu, o tym, co może wydać się niedorzecznie praktyczne.

05.03.2014
Jeszcze niedawno odczuwaliśmy strach na myśl, że Ukraina znajduje się na krawędzi wojny domowej. Rosja nie tyle chciała, ile robiła wszystko, co możliwe, byśmy podzielili się na swoich i obcych. Protest społeczny, będący buntem narodu przeciwko władzy, nasi sąsiedzi mieli zamiar pokazać jako etniczną walkę między rosyjskojęzycznym wschodem i ukraińskojęzycznym zachodem Ukrainy. Kiedy ten scenariusz okazał się niemożliwy, władze Rosji sięgnęły po ekstremalne środki (na tyle ekstremalne, że ogromna część społeczeństwa dotąd nie może uwierzyć w realność tego, co się dzieje) – wypowiedziały wojnę Ukrainie. To znaczy nie tyle wypowiedziały, co, zaspokajając swoje oczekiwania, przerzuciły z Rosji na Ukrainę (na razie tylko na Krym) niczym z Pskowa do Woroneża kilka tysięcy żołnierzy. Powody wszystkim znane. Rzeczywiście, działania Moskwy są zrozumiałe i być może nawet przewidywalne. Mogą wywoływać zaniepokojenie albo i strach – co oczywiste, zagrożenie, jakim Rosja jest dla Ukrainy, trzeba traktować jako część współczesnego świata [...]. Kiedy się mówi, że ludzkie życie stanowi najwyższą wartość, to jest to jedynie część prawdy. Najnowszy przykład – „Niebiańska Sotnia" [określenie poległych bojowników Majdanu – przyp. tłum.]. Ludzie świadomie oddali swoje życie, zapłacili nim... Za co? To retoryka. Wszyscy wiedzą, o jakie wartości walczyli ludzie z Majdanu [...]. W lutym 1981 r. nasze BWP (czterech żołnierzy) zostało, by osłaniać wycofanie się oddziału, który dostał się pod ostrzał. Zawsze robi się ofiarę z czegoś mniejszego, by uratować coś znacznie większego. Manewrując, kontynuowaliśmy walkę, później BWP trafili z granatnika, ale dalej się ostrzeliwaliśmy. Przyszli nam na ratunek. Ale mogliby nie przyjść (jeśli oddział by nie dotarł w bezpieczne miejsce) albo nie zdążyć. Po prostu zginęłoby czterech żołnierzy. Okoliczności się tak złożyły, że się nam poszczęściło. Takie są prawa wojny, żołnierz robi to, co zrobić powinien. Należy pamiętać, że nasza okupacja Afganistanu była bardzo, ale to bardzo słabo ideologicznie umotywowana. Nie mieliśmy za sobą tej prawości, która daje siłę człowiekowi broniącemu swojej ojczystej ziemi. Dlatego Afgańczycy, nie mając regularnej armii, byli w stanie powstrzymać radzieckie wojska.

Politycy mnie nie dziwią, jak zwykle trzymają się swoich krzeseł i portfeli. Dziwią wojskowi, broniący państwa i narodu przed interwencją – to ich najważniejszy obowiązek. Mamy bezpośrednie wtargnięcie na terytorium Ukrainy.

I co, gdzie nasi obrońcy Ojczyzny?

Wasyl Słapczuk
(przekład z ukraińskiego Wojciech Pestka)



fot. archiwum

Wasyl Słapczuk – jeden z najbardziej znanych pisarzy ukraińskich średniego pokolenia, dr nauk filologicznych, członek Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy.
Nagrodzony najwyższą ukraińską literacką Nagrodą im. Tarasa Szewczenki (2004), laureat wielu międzynarodowych nagród literackich.
W 2013 r. Wasyl Słapczuk był gościem 36. Radomskiej Wiosny Literackiej.

Na pamiątkę tyfusu plamistego...

Marta Wiktoria Trojanowska

Stan fatalny – musiało przykleić się do innego zdjęcia. Ktoś je brutalnie rozkleił, niszcząc, na pewno niechcący, tę starą, dziś prawie stuletnią fotografię. Zresztą... zdjęcie, jakich wiele.

Siedzą obok siebie. Ona w bujanym fotelu, z poduszką pod głową. Biała koszula zapięta pod szyję. Na nogach sznurowane buty – a więc nie leży już w łóżku – chodzi, spaceruje... No chyba że założyła te buty i starannie zasznurowała tylko po to, by przejść ten kawałek od łóżka do fotela. A może to był akurat dzień pierwszego spaceru, w końcu zaczynała się wiosna. Fotografia niestety niczego nie zdradza. Ani co było przedtem, ani co mogło być potem. Żadnego światłocienia. Nie sposób określić pogody za oknem.

„Tyfus plamisty, dur plamisty [...] – bakteryjna choroba zakaźna, przyczyna ciężkich epidemii i śmierci milionów ludzi. [...] przenoszony przez wszy ludzkie". (Wikipedia)

Na pewno nie nabrała jeszcze sił po chorobie. Gdyby nie ta poduszka włożona za głowę, mogłaby nas jeszcze próbować oszukać, że już zupełnie zdrowa i pełna energii. Nie... jeszcze trzeba leżeć, jeszcze odpoczywać, a nie rwać się do życia... pani Jadwigo. Tak miała na imię. Kobieta? Dziewczyna? Tego też nie wiadomo. Nie da się określić jej wieku nawet z pomocą mężczyzny, który przysiadł obok. Mąż? Gdyby mąż, może próbowałby ją objąć czulej, a tak siedzi obok, zbliżył się do niej tylko odrobinę, bo tak nakazał mu pewnie fotograf. Chociaż... lewa ręka jakby trzymała rękę kobiety. Powiększam na komputerze kopię fotografii, może widzę te splecione ręce, a może tylko chciałabym je tam widzieć...



fot. archiwum

Nie pasuje mi ubiór. Odbiega od całości spokojnego wnętrza. Jakby mężczyzna był tylko gościem w tym pokoju. Jakby przyszedł na chwilę i zaraz miał odejść... Nie on jest zresztą najważniejszy na zdjęciu...

„[...] po pięciu dniach [występuje] wysypka na skórze w formie czerwonych plam i grudek, które przechodzą w wybroczyny krwawe". (Wikipedia)

Nie umiem powiedzieć, czy jest ładna. Ta biała koszula zakrywa jej kształty, nawet nagiej kostki u nogi nie widać. Poduszka z haftowanymi brzegami zdradza jej kruchość i słabość. Tylko te warkocze. Zaplecione szybko. Kiedy wstawała z fotela, na pewno się rozplotły. Przerzucone do przodu, jakby udowadniała nimi tę swoją kobiecość. Jakby była z nich dumna. Próbuję sobie wyobrazić ją z tymi długimi do pasa włosami. Jednak musiała być piękna... Zresztą mimo choroby, mimo tej białej poduszki widać, że ciężko walczyła. I że wygrała życie i za chwilę znów będzie atrakcyjną kobietą. Jeszcze kilka wieczorów w bujanym fotelu, kilka nocy w tej białej koszuli...

Jedynie otoczenie. To nie jest otoczenie dla niej... Ten zatrzymany zegar na godz. 4.20, te fiolki (z lekami?)... Widać tu tylko stagnację i śmierć.

A jednak wygrała... Mówi o tym coś jeszcze. Choć zdjęcie ciekawe jest właśnie ze względu na to otoczenie (przy powiększeniu dostrzec można z łatwością przedmioty codziennego użytku), ja w nim widzę coś jeszcze. Paradoks fotografii objawił się tutaj w najczystszej postaci. To dla niej, nie dla siedzącego obok mężczyzny emulsja fotograficzna okazała się łaskawsza. Chociaż to ta strona zdjęcia, na której siedzi Jadwiga, uszkodziła się najbardziej, sam obraz pozostał. Choć najwidoczniejszy jest nadal zatrzymany zegar, to jednak jej twarz ocalała – nie obcego mężczyzny. Choć blada i znikająca, to ONA jest widoczna... I te jej warkocze...

„[...] od czwartego tygodnia choroby zmiany w układzie nerwowym cofają się". (Wikipedia)

Tajemnicę zdjęcia wyjaśnia dedykacja: „Szanownej i Drogiej pani Łubińskiej na pamiątkę mej choroby – tyfusu plamistego – Jadwiga. Krasnystaw 28.III.1918".

Z całej mojej kolekcji dziwnych dedykacji ta jest najdziwniejsza... Wiem, były inne czasy, była jeszcze wojna. Ale ja żyję prawie 100 lat później, a słowo tyfus znam jedynie z podręczników... Teraz byłaby to zresztą zupełnie inna choroba. Teraz Jadwiga stanęłaby przed obiektywem w eleganckiej peruce. Tak jak współczesne kobiety, które już dawno przełamały tabu i pozwoliły sfotografować się w blizną w miejscu piersi i głową bez włosów. Ale i one na pewno nie wysyłałyby zdjęć „na pamiątkę choroby". Tak, pani Jadwigo, to są już inne czasy...

Zachorowanie na tyfus daje pewną odporność na chorobę. (Wikipedia)

Nie wiem, jaka jest historia samej fotografii. Może to tylko, że z Krasnegostawu trafiła do Radomia, do pani Łubińskiej z ulicy Lubelskiej. Powierzchnia fotografii się lustrzy, nie przetrwa długo między innymi zdjęciami. Ktoś ją kiedyś wyciągnie, ale już będzie za późno...

Patrzę na fotokopię zdjęcia. Niech jeszcze trochę potrwa... Niech jeszcze chwilę Jadwiga potriumfuje nad śmiercią, chociaż to takie złudne i nieprawdziwe zwycięstwo. Niech chwilkę posiedzi w bujanym fotelu, zanim rozplecie te swoje warkocze ze zdjęcia zrobionego na pamiątkę tyfusu... „dziewczyna z poduszką".

Marta Wiktoria Trojanowska

She

Robert Utkowski

Na początek wyobraźcie sobie muzykę. A nawet znajdźcie wszystkie potrzebne utwory, przygotujcie empetrójki czy łejwy. Włączajcie po kolei, w kawałkach, zróbcie soundtrack do tego tekstu.

Queen: „White Queen"
„So sad her eyes
Smiling dark eyes
So sad her eyes
As it began".

W angielskiej poezji, szczególnie romantycznej, czasami to, co ma wagę i wartość, to, co piękne, wielkie, godne określane jest jako „she". Księżyc, choć to słowo rodzaju męskiego, bywa czasem rodzaju żeńskiego: to „ona", „she" świeci na niebie. I „ona", księżyc, „she" jest piękna, magiczna, wielka czy jaka tam sobie chcecie.

Angielska historia nadała „she" inną rangę. Królowe odcisnęły swoje silne piętno. Nierzadko silniejsze niż królowie.

Spinakery: „Biała sukienka"
„I cała w żaglach jak w białej sukience
jak piękny ptak który zapiera w piersi dech
chwyciłem mocno ster w obie ręce
i żeglowałem zasłuchany w fali śpiew".

Wyspiarski naród przeniósł swoje „she" na statki. Matka, królowa, ojczyzna, statek, okręt, korab. She. Żeglarska kultura rozprzestrzeniła się, ślady tego „she" są także w naszych żeglarskich piosenkach, jak w tej cytowanej przed chwilą, Spinakerów. Z jednej strony ta „ona" cała w żaglach to niby zwykłe porównanie, statek piękny jak kobieta, ona w sukience, on w żaglach. Ale spójrzcie na tę konstrukcję: „cała w żaglach jak w białej sukience" – to okręt, „ona", „she", jest w żaglach. „Cała", nie „cały". Cała w żaglach.

Świat się zmienia, odległości maleją. Choć nie wszystkie. Z Anglii do nas daleko. Wiatr od morza też nie zawsze dociera.

A teraz puśćcie sobie utwór z Notting Hill. Znacie na pewno.

Elvis Costello: „She"
„May be the face I can't forget.
A trace of pleasure or regret
May be my treasure or the price I have to pay.
She may be the song that summer sings.
May be the chill that autumn brings.
May be a hundred different things
Within the measure of a day".

W ciepłe wiosenne, letnie czy wczesnojesienne dni na ulicy Żytniej, Szwarlikowskiej, Szewskiej, Szpitalnej zaczyna się życie podwórek. Na sznurkach w patiach (z patio przesadziłem, ale chciałem uniknąć powtórzenia) kamienic suszą się gacie, spodnie, skarpety, koszule i koszulki. Wywieszają je „she", zniszczone, sfatygowane po zimie, wystawiają twarze do słońca. Wieszają pranie przed domem, po staremu, pamięć genetyczna zachowała wielopokoleniowe nawyki, tak się wieszało kiedyś, tak się wiesza i teraz. Przy ul. Krakowskiej, w jednej z kamienic niemal na wprost stacji benzynowej, latem o poranku i po południu z okien dobiegają męskie bluzgi, na podwórku suszy się pranie. Wychodzą po nie „she", zbierają, wchodzą do domów, dalej nie widać, ale trudno sobie wyobrazić, żeby to on prasował, układał po szafkach, wieszał. Więc pewnie to „she" prasują, wieszają, układają.

Bardzo daleko z Radomia do „she" okrętów czy angielskich królowych. Bardzo daleko do dyskusji, jaka jest dziś rola „she", i czy to, co one robią od lat jest dobre czy złe.

Ta dyskusja jest jakby obok, przejeżdża może jeszcze czasem ulicą Limanowskiego, potem Okulickiego, wpada na krajową „siódemkę" i jedzie do Warszawy. Najczęściej jednak w ogóle omija miasto, przejeżdżając z Krakowa do stolicy.

Czasem tylko daje się usłyszeć jej dalekie echa. Justyna Bargielska, poetka, pisarka, trochę o „she" mówiła podczas Wiosny Literackiej. Mówiła mądrze i dobrze, a i tak na naszym podwórku brzmiało to, mam wrażenie, jak opowieść o nieznanej, dalekiej krainie. Bo radomskie „she" idą do instancji wyższej oburzone sztuką w teatrze, że obraża ich uczucia. Były w teatrze, więc załóżmy, że to bardziej światłe „she". Mój Boże, jak złudne czasem jest światło, jak potrafi omamić.

Green Day: „When I come arround"
„I heard you crying loud
All the way across the town
You've been searching for that someone
And it's me out on the prowl
As you sit around feeling sorry for yourself
Well don't get lonely now
And dry your whining eyes".

Czasem musi nastąpić wstrząs, żeby rzeczy się poruszyły, planety wypadły z orbit, żeby inaczej spojrzeć na stare rzeczy i prawa.

Przepisy nic nie zmienią.

Uginanie się przed oczekiwaniem, że rozkazem władzy sztuka zniknie z afisza, nie pomoże, przeciwnie, konserwuje nawyki i przyzwyczajenia, po staremu układa role.

Od kilku lat robię zdjęcia gościom, którzy przychodzą do TV Dami do programu „Na Temat". Dokumentuję. To w przeważającej większości politycy. Czasem dyrektorzy instytucji czy prezesi spółek. Wieszam na ścianie w holu redakcji. Na kilkadziesiąt zdjęć tylko na dwóch są kobiety. To nie chodzi o to, że my, redakcja, tak wybieramy. Po prostu większość czołowych stanowisk piastują mężczyźni. Rozejrzyjcie się.

Parytety tego nie zmienią. Na siłę się nie da.

Bo konserwując stare nawyki i przyzwyczajenia, konserwujemy i to, że polityk to raczej „mąż stanu". Nie ma „żony stanu". „Ministra" nadal brzmi głupawo, „posłanka" jakoś funkcjonuje, ale też bez rewelacji. Z „dyrektorką" już lepiej. Świetnie funkcjonują sklepowe, krawcowe, praczki, sprzątaczki. Tu nawet lepiej niż dobrze, bo jest „sprzedawca", „krawiec", ale „pracz" nie istnieje wcale, a „sprzątacz" tylko czasami i gdzieniegdzie.

Więc róbmy odważne wystawy i sztuki, które oburzają. Dyskutujmy o książkach, piszmy mocne wiersze.

Nie po to, żeby wysadzić świat czy od razu obracać go do góry kołami. Po to, żeby był przyjaźniejszy. Bardziej wspólny.

Robert Utkowski

Obertasy na kontrolowanym

Krzysztof Majerczyk

Muzyczne kalendarium 22 lutego przypomniało nam o rocznicy 200-lecia urodzin Henryka Oskara Kolberga, wybitnego etnografa i kompozytora polskiego. W nurt inicjatyw Roku Kolbergowskiego włączył się Zespół Szkół Muzycznych w Radomiu, który, mając za patrona tego urodzonego w Przysusze zasłużonego Polaka, jemu właśnie zadedykował II Festiwal Kontrolowany (12–14 lutego 2014 r.).

Festiwal Kontrolowany to pomysł grupy nauczycieli radomskiej szkoły muzycznej. Postanowili, że dobrze brzmiąca nazwa „kontrolowany" pozostanie niezmieniona (pierwszy „kontrolowany" poświęcony był Witoldowi Lutosławskiemu), natomiast zmienna będzie tematyka festiwalowa. W ramach festiwalu kolbergowskiego jego koordynatorzy (Piotr Gliński, Anna Sowa, Monika Kinga Stachowicz, Przemysław Zych) postanowili zaprezentować rodzimy folklor z różnych punktów widzenia, zarówno w jego naturalnej postaci, jak też we współczesnych, często znacznie odbiegających od korzeni odmianach. Wydarzenie podzielono na uzupełniające się części: teoretyczne, praktyczne i artystyczne. Program zawierał ciekawe wykłady, warsztaty dla uczniów i zainteresowanych muzyków, a także prezentacje etnicznych instrumentów.

Pierwsze spotkanie było wprowadzeniem do

ludowej tradycji (muzykowanie bowiem było istotnym elementem lokalnych norm i obyczajowości). Maciej Żurek, utalentowany popularyzator tego tematu, znany socjolog, etnograf i muzyk opowiedział o zawodzie wiejskiego muzykanta z taką pasją, że jako żywo stanęły przed oczami obrazy polskiej wsi i jej społeczności – i tej w trudzie pracy, i tej świętującej bądź odpoczywającej, rozśpiewanej i roztańczonej w wiejskich karczmach i na domowych potańcówkach. Duszą wiejskich zabaw był zawsze wiejski muzykant, zazwyczaj skrzypek, który grał melodie ze świergotliwymi ozdobnikami, solo lub przy pomocy sekundzisty (czyli drugiego skrzypka z wyczuciem różnicującego „sztrychy"), z podkładem synkopowanej rytmiki (rola bębniarza i basisty) lub z dopełnieniem akompaniamentu (rola cymbalisty). Zmieniając krok taneczny, tempo lub kierunek tańca, na przemian rzucając przeróżne komendy, ten sprawny grajek-wodzirej umiał „zakręcić" niejedną polkę, oberka bądź mazurka. Najlepsi potrafili zagrać z niewielkimi przerwami na odpoczynek nawet trzydniowe wesele! Nie był to zatem łatwy fach. Kunszt gry doskonalono przez całe lata, praktykując u słynnych w okolicy mistrzów. Nierzadko doskonałość w grze była wynikiem wielopokoleniowego rodzinnego przekazu tej szczególnej sztuki muzycznej. Nic dziwnego, że również dzisiaj do utalentowanych wiejskich muzykantów zjeżdżają po naukę tradycyjnego grania nawet klasycznie wykształceni muzycy (np. w region kajocki, czyli na północ od Przysuchy). Barwne opowieści prelegenta (ucznia słynnego, nieżyjącego już muzykanta – skrzypka Jana Gacy) znalazły jeszcze tego samego dnia przełożenie w występie jego formacji muzycznej Maciej Żurek Trio (Maciej Żurek, Joanna Żurek, Mateusz Kowalski), która wspólnie z zespołem śpiewaczym Gałcunecki z Gałek Rusinowskich z werwą i wigorem zaprezentowała tradycyjne pieśni i tańce z naszego regionu.

Najmłodsi uczestnicy festiwalowych warsztatów do woli wypytywali ludowe śpiewaczki z Gałek Rusinowskich o wiejskie tradycje i obyczaje, nieco starsi instrumentaliści mogli podszkolić się w starej technice gry na skrzypcach (prowadzenie: Maciej Żurek i Mateusz Kowalski), a tancerze próbowali opanować nowe, modne niuanse w technice folk jazz (prowadzenie: Joanna Wolańska). Atrakcją stała się też prezentacja tradycyjnych instrumentów, której dokonali członkowie Kapeli ze Wsi Warszawa. Szczególne zainteresowanie wzbudziły zabytkowe cymbały, suka biłgorajska (replika), fidel płocka (replika) oraz wyjaśnienie techniki białego głosu (tzw. śpiewanie na krzyku).

Atutem tegorocznego festiwalu, nazwanego wyjątkowo precyzyjnie K.K.K. Kontrolowany, były koncerty. Wszystkie, w różnym stopniu nawiązujące do korzeni ludowych, pokazały siłę oddziaływania muzyki tradycyjnej na szeroko pojmowaną muzykę współczesną. Pierwsze K – jak Kwadrofonik, czyli kwartet fortepianowo-perkusyjny w składzie: Magdalena Kordylasińska, Miłosz Pękala (grający na instrumentach perkusyjnych), Emilia Sitarz i Bartłomiej Wąsik (grający na fortepianach) to muzycy, którzy od kilku lat konsekwentnie podążają drogą improwizacji i własnych poszukiwań brzmieniowych. Ich wyjątkowa wrażliwość na dźwięki, pomysł na niekonwencjonalne zestawienie instrumentów oraz aranżacje tematów zaczerpniętych z muzyki ludowej nawet w trudnym, nowoczesnym ujęciu wywarły na radomskiej publiczności niezapomniane wrażenie. Drugie K – jak Kapela ze Wsi Warszawa, czyli Magdalena Sobczak-Kotnarowska – głos, cymbały, Sylwia Świątkowska – głos, skrzypce, fidel płocka, Ewa Wałecka – głos, skrzypce, Piotr Gliński – baraban, perkusjonalia, Paweł Mazurczak – kontrabas, Maciej Szajkowski – bębny obręczowe, perkusjonalia, a także Miłosz Gawryłkiewicz – trąbka oraz decydujący o końcowym brzmieniu projektu Mariusz Dziurawiec – soundmaster. Występ działającej od kilkunastu lat formacji można by zaliczyć do najoryginalniejszych, jakie dotychczas odbyły się w sali koncertowej radomskiej szkoły muzycznej. Mieliśmy do czynienia z wyjątkowym przykładem inwencji twórczej, przy czym idea zachowania wierności tradycyjnym technikom wykonawczym została umiejętnie wzbogacona poprzez doświadczenie i wiedzę, a także poszukiwania własne artystów (muzycy zespołu są rozmiłowani w odszukiwaniu starych zbiorów tekstów i melodii ludowych, w których znajdują inspiracje do własnych kompozycji). Potwierdziła się też opinia, że 100-procentowy kontakt z Kapelą ze Wsi Warszawa to obcowanie z nią na żywo (nie wystarczy słuchanie z płyt czy oglądanie teledysków). Radomski koncert to właśnie pokazał. Muzycy zademonstrowali pełnię swoich umiejętności. Odbiór został spotęgowany ciekawym eksperymentem choreograficznym (projektem tanecznym grupy OFF HARNAM). I wreszcie trzecie K – jak Kilar, zawarte w finale festiwalu, który okazał się popisem w wykonaniu uczniów szkoły muzycznej. Rozpoczął się występem zespołu rytmiczek, które zaprezentowały układ taneczny do utworu „Orawa" Wojciecha Kilara, a później zinterpretowały ruchowo „Wariację na temat melodii ludowej Mazurek od Tymbarku" – kompozycję Anny Sowy, jednej z organizatorek festiwalu. Publiczność miała okazję wysłuchać utworów nagrodzonych w I Kontrolowanym Konkursie Kompozytorskim: zwycięskiego Małego Duetu Macieja Sikały, Sopli Lodu Przemysława Jana Kowalskiego oraz Medytacji I Anny Stachurskiej,



fot. M. Sołśnia

Joanna Wolańska z zespołu OFF HARNAM

a także ciekawych improwizacji fortepianowych inspirowanych muzyką ludową w wykonaniu Jakuba Banaszka. W drugiej części koncertu zaprezentowała się Szkolna Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Przemysława Zycha. Zagrała pięknego, melodyjnego poloneza skomponowanego przez Bartłomieja Danielewicza, tegorocznego dyplomanta szkoły, następnie fragmenty suity z filmu „Pan Tadeusz" oraz poemat symfoniczny „Krzesany" Wojciecha Kilara (wykonany z elementem zaskoczenia – pojawiły się na widowni i scenie dzieci z zespołu Modern grające na instrumentach perkusyjnych).

II Festiwal Kontrolowany stanowił dla licznie zgromadzonej radomskiej publiczności bardzo ciekawe doświadczenie. Ponad 100 wykonawców i prawie 15 godz. z muzyką tradycyjną i jej interpretacjami dostarczyło wyjątkowych przeżyć oraz uświadomiło bogactwo i siłę oddziaływania polskiego folkloru. Rok jubileuszowy trwa. Pamięć o Kolbergu jest wciąż żywa. Nieprzemijającą wartość jego dorobku trudno przecenić (zgromadzenie i opublikowanie ponad 10 tys. melodii ludowych niemal z całej Polski, ich systematyzacja i dokumentacja). Nie był on jedynym naukowcem zasłużonym dla polskiej etnografii. Są jego następcy, młodzi badacze zafascynowani rodzimą kulturą i tradycją. Także w Radomiu.

Krzysztof Majerczyk



Wszystkie niuanse akwareli

Grzegorz Sasin

fot. internet

Spektakl. Parada aktorek. Wielobarwna. Różnorodna. Od początku roku. Od ubiegłego roku. Właściwie od początku nowego tysiąclecia. W paradzie nie królują wampy, dumb blonde, heroiny romantyczne. Nie paradują ozdobniki. Kobiety jako tło dla męskich poczynań. Nawet w filmach akcji. Po prostu kobiety, a nie tylko piękne atrakcje. Jakby z nastaniem nowego wieku kino uczyniło zwrot ku swym początkom, kiedy niejaka Alice Guy była producentem w istniejącej do dziś firmie producenckiej Gaumont. Wtedy też, w 1899 r., nakręciła, już jako pani reżyser, film trikowy „Przestępstwa cielęcej głowy". I na tym się skończyło, bo wyszła za mąż i podjęła należną podobno kobietom rolę społeczną – żony i matki. O czymś takim zupełnie nie pomyślała Adela, bohaterka „Życia Adeli" Abdellatifa Kechiche'a, autora jednego z tych rzadkich filmów, o których można powiedzieć, że zostają w oku.

Adela analizuje w szkole na lekcjach francuskiego *Życie Marianny* Marivaux. Powieść bardzo wyszukaną i w sensie językowym, i psychologicznym. Powieść o uczuciach, igraniu nimi. Prostocie i skomplikowanych meandrach miłości. Tylko że Adela (Adéle Exarchoupoulos) nie chce być jak bohaterka Marivaux – zagubioną dziewczyną, nękaną przez typowego dla Francji XVIII w. libertyna i szukającą ukojenia w nieśmiałej miłości do młodego chłopca. Adela jest zarazem bezczelna i nieśmiała, gdy miłość uderza w nią niczym grom za sprawą ujrzanej na ulicy niebieskowłosej dziewczyny. W końcu poznaje swój ideał, swoją miłość, Emmę (Léa Seydoux) i zaczyna się korowód uczuć w stylu (a jednak) Marivaux – formalnie wyrafinowany, pełen autentyzmu. Poruszający opisem namiętności dwóch dziewczyn tak różnych, a zafascynowanych sobą. Do czasu, bo stan takiego wzajemnego zaczarowania nie może wytrwać do końca czasu w prozaicznej rzeczywistości świata, który przecież wypełnia także dusze żyjących w nim bohaterek filmu. Pierwsza zdaje sobie z tego sprawę Emma, która jest coraz bardziej przerażona miłosną utopią, w jakiej egzystuje z Adelą – i jej strach, wyrażony przez autentyczną zazdrość, doprowadza do zerwania. Emma brutalnie wypędza Adelę niczym... jakiś męski bokser! A jednak! Bo to nie jest takie proste. Miłość podobno niweczy pewne różnice społeczne, psychiczne, kulturowe, ale w pewnym momencie wizje życia, aspiracje zaczynają się rozchodzić nie tylko w związku męsko-damskim, ale także damsko-damskim, zwłaszcza że Emma zaczyna zdawać sobie sprawę, że Adela jest w jakimś stopniu toksyczna. Istnieje dla niej tylko miłość, tylko Emma. Reszta jest dodatkiem, złudzeniem. Toteż Adela musi zostać sama. Wyjść z utopii, snu na zewnątrz, w prozaiczne życie, gdzie ludzie też się wprawdzie kochają, ale w sposób jakoś uporządkowany, ustabilizowany, w kręgu, w którym nie można na co dzień przebywać na szczytach uczuć. Emma zaś nie chce udawać, grać, bo ona mniej kocha i może żyć bez Adeli. Nie chce jej ranić do końca, więc odchodzi. Nie podejmuje gry jak bohaterowie „Wenus w futrze" Romana Polańskiego. Ale tu mamy konflikt wyostrzony przez teatralną konwencję. Grę toczą między sobą aktorka (Emmanuelle Seigner) i reżyser (Mathieu Amalric) – grę w teatrze, w umownych dekoracjach, więc jak przystało na tę scenerię, odgrywają odwieczny spektakl rządzenia i zniewolenia. Teatr rządzących i rządzonych. Odwieczną grę między mężczyzną a kobietą o władzę w domu, w relacjach uczuciowych. I mężczyzna tę grę przegrywa, bo kobieta od początku igra nim niczym marionetką – odgrywa historię kina i rolę kobiety w tej historii: od pierwszej naiwnej do władczyni ekranu. Z kadru na kadr role się zmieniają. Reżyser staje się pionkiem a kobieta reżyserem, czego symbolem staje się w końcowej scenie reżyser przebrany za kobietę, przywiązany do gigantycznego kaktusa-fallusa. Bo jest ten film także zapisem stanu masochizmu, gdyż sztuka Davida Ivesa, na której oparty został scenariusz, jest teatralną adaptacją dość marnej powieści Sacher-Masocha z końca XIX w., której bohater zgodził się być przez kilka miesięcy niewolnikiem kobiety, a został nim na zawsze. Niewątpliwie Polański zafascynowany jest kobietą zarówno od strony erotycznej, jak i intelektualnej, ale ta fascynacja ukrywa strach przed kobietą, ma w sobie jakąś niechęć, grozę, jakby kobieta była wyłącznie modliszką. Byłżeby więc Polański mizoginem? Cóż, nazwałbym to niemieckim określeniem „hassliebe", które, gdy się przyjrzeć dokładniej wszystkim filmom Polańskiego, objawia się w całej okazałości, a najdobitniej w „Gorzkich godach", gdzie też kobieta wykańczała mężczyznę, i też w postaci Emmanuelle Seigner, czyli żony reżysera, co prowadzi nas do konstatacji, że... Właśnie, że co? Chyba już zanadto pomieszałem fakty ekranowe z faktami życiowymi.

U Polańskiego mężczyzna jeszcze jest, walczy jako ten prostoduszny Herakles. W „Sierpniu w hrabstwie Osage" Johna Wellsa mężczyzna znika, a potem jest trupem. Na pierwszym planie są kobiety, przede wszystkim matka (Meryl Streep) i córka (Julia Roberts). I to między nimi rozgrywa się cała psychodrama, której tłem jest upalna letnia Oklahoma wypełniona pustką suszy, żółta taka jak wysuszona jest ekscentryczna matka i będąca na samej krawędzi pustki córka. Mamy tu do czynienia z paradoksalną grą o władzę między narcystyczną matką lekomanką a szukającą kompensacji za niemiłe dzieciństwo córką. Nawet nie jest to walka o władzę w rodzinie, tylko po prostu walka o dominację dla samej dominacji. Obie panie wyglądają na niespełnione aktorki, które za scenę wybrały sobie rodzinny dom, a mężczyzn nie ma: mąż i ojciec (Sam Shepard) zniknął, zaś mąż i zięć (Ewan McGregor) je, patrzy i jest mu wszystko jedno. Tym bardziej że i tak gotuje się do rozwodu. Byłby więc ważkim argumentem na szali, ale pełni tylko określoną rolę społeczną. O niczym nie decyduje. Ale czy ktokolwiek o czymś decyduje na tym najpiękniejszym ze światów? Wprawdzie cór-

ka w końcu krzyczy: „Teraz ja tu rządzę!" – ale czy to coś zmienia?

Kobieta, mężczyzna, matka, córka, mąż, zięć – te postacie na ekranie mają imiona, ale są one tylko znakiem, rozróżnieniem dla widza. Mogliby nazywać się jakkolwiek, a i tak nic by to nie zmieniło, bo na obu filmach mamy wrażenie, jakbyśmy przebywali w starożytnym theatrum w Atenach i oglądali jakiegoś Ajschylosa bądź Eurypidesa, gdzie też Elektra, Edyp czy Orestes, Jokasta odgrywają odwieczny mit w innych dekoracjach. Gdyż świat jest złudzeniem? A uczucia tylko chemią? Feromonami? Czy też może ewolucja postąpiła naprzód i wszystko się odwróciło, zmieniło: archetypy okazały się tylko iluzjami...

Dla Woody Allena nic się nie zmieniło. Dla niego kobieta jest zawsze nieodpowiedzialną istotą pełną niewytłumaczalnych zachowań. A zwykle jędzą, jak Jasmine (Cate Blanchett) w „Blue Jasmine", który to film jest opowieścią o histerii, kabotyństwie i gadulstwie. Jasmine jest niemożliwa. Wciąż gada i gada. Nie słucha, nie widzi. Jest pępkiem samym w sobie, jak powiedziałby Kant. Ale mówi Allen. A zatem mówi o sobie. Jak zawsze. Bo to nie jest film o kobiecie jako takiej, lecz o kobiecie w Woody Allenie, któremu zdaje się, że kobieta to histeria, to słowotok, bo on sam taki jest, a skoro ja, Allen, istnieję jako JA, jako geniusz, więc kobieta jest złudzeniem poza moim mózgiem. Nie ma jej... Tak leczy swój kompleks Woody Allen. I dlatego nie mógłby zająć się rozrysowywaniem na ekranie losów kobiety intelektualistki, co czyni Margarethe von Trotta w „Hannah Arendt", historii żydowsko-niemieckiej filozofki (Barbara Sukova) uwikłanej w okropny czas XX w. Osaczonej w sieci zło–dobro, umysł–serce, miłość–nienawiść. Kobiety zaatakowanej za kontrowersyjną tezę, że zło nie jest niczym szczególnym, za „banalność zła". Że człowiek złym się nie rodzi, lecz staje z wyroków życia. Tym szybciej, im bardziej jest przeciętny i nijaki, jak Eichmann, zbrodniarz wojenny opisany przez nią w *Eichmann w Jerozolimie*. Zło nie jest bowiem demoniczne, jest ot, takie zwykłe, takie za oknem. Margarethe von Trotta sygnalizuje, że wpływ na opinię Arendt o Eichmannie miała relacja uczuciowa Heidegger–Arendt, a także relacja mistrz–uczennica. Toteż Arendt, skoro jej mistrz i kochanek był nazistą, nie chce przyjąć do wiadomości, że zło to synonim diabła. Ponieważ wtedy okazałoby się, że sama, poprzez miłość, uległa iluzji, którą opisuje w *Korzeniach totalitaryzmu*. Bo przecież ona, niezawisły umysł, nie mogłaby kochać Heideggera diabła. Ale czy miłość rozgrywa się na takich intelektualnych diapazonach? Wątpię. W co wątpi też i Stephen Frears w opowieści prawdziwej „Tajemnica Filomeny", gdzie miłość jest jak błysk, chwila, która naznacza Filomenę (Judi Dench) na całe życie, za sprawą pewnych zakonnic. Bo tak na dobrą sprawę film opowiada nie tyle o problemie Filomeny, ile o władzy. O tym, jak władza korumpuje i prowadzi do zła. Nawet w tak małej społeczności jak wspólnota zakonna, gdzie za sprawą fanatyzmu religijnego rodem z hiszpańskiego baroku szykanowane są młode dziewczyny, cierpią dzieci, a zakonnice wciąż o Bogu. Jest tu prosta, uczciwa, miła Filomena i są ogarnięte fanatyzmem, pełne hipokryzji zakonnice, oszustki mentalne do końca. Demoniczne jak demony Goi, mimo że w Irlandii. Ciekawe, że to samo mamy w literaturze anglo-irlandzkiej – ot, choćby dopiero co wydany zbiór opowiadań *Cud dwa razy się nie zdarza* Seána O'Faoláina, też antyklerykalny. Coś kler nieźle dał się w kość (i daje) Irlandczykom, zwłaszcza płci żeńskiej. Ale, jak świadczą o tym filmy pierwszych lat XXI w., kobiety się nie dają, mężczyźni zaś przejmują ich dawną główną rolę: malowniczego tła. Kobieta u szczytu filmowej narracji jako odpowiedź na pytanie Andrew Marvella: /Ulubienica bogów! Któż zaiste, / Zgadnie cel, w jakim na świat ją zesłali?/[1].

Nikt. A może Filomena? Hannah Arendt? Albo też Adela? Zagadka Sfinksa.

Grzegorz Sasin

[1] W przekładzie Stanisława Barańczaka.

Jak być kobietą spełnioną...

Ilona Michalska-Masiarz

Tu na ziemi powołaniem każdej spełnionej życiowo kobiety jest realizowanie się w domowym zaciszu w rolach żony i matki"... Tak o sensie istnienia przeciętnej niewiasty myślano jeszcze 100 lat temu, w sumie w całkiem nieodległej przeszłości. W dodatku myślenie takie nie było ewenementem, daje się zauważyć przy lekturze różnych XIX-wiecznych powieści, poradników i periodyków...

Codzienność każdej kobiety określały ściśle określone rytuały... Kodeks wyznaczał to, kiedy można zdjąć rękawiczkę, kapelusz, czy w ogóle można iść na spacer, nie wspominając o tym, z kim można zażywać przechadzek... Wśród dozwolonych rozrywek – amatorskie granie na instrumentach i śpiew, czytanie książek (ale starannie dobranych pod względem obyczajowym), robótki ręczne, malowanie i rysowanie. Jeśli sport, to lekki, taki dla kobiet (gimnastyka, spacery), bo jazdę konną lub „bicyclet" zaliczano do dyscyplin zabronionych... W karnawale obowiązkowe bale, którym prawdopodobnie często towarzyszyły salonowe, puste rozmowy. Narzeczeni wpatrujący się jedynie w siebie, zawstydzeni... Nie wiedzieli, o czym rozmawiać... Zwłaszcza że pod żadnym pozorem nie mogli zostać sami w pomieszczeniu, więc rozmowa siłą rzeczy toczyć się musiała w obecności matki, siostry lub innej domowniczki. Nauka jedynie domowa, uzupełniona wyjazdem na pensję. Kobiety jeszcze 100 lat temu żyły ciasno spętane gorsetami... Nie tylko dosłownie, ale i w przenośni.

Wpadła mi w ręce książeczka słynnej Klementyny z Tańskich Hoffmanowej... *Dziennik Franciszki Krasińskiej*. Zacytuję fragment odnoszący się właśnie do nauki na pensji. Panienka kilkunastoletnia po raz pierwszy oddaliła się spod pieczy rodziców, z maleszowskiego zamku i opisuje pierwsze wrażenia: „Nie ma ani pacholików, ani hajduków, tylko i do stołu, i wszędzie same usługują kobiety. Jest nas panien kilkanaście, wszystkie z najpierwszych domów i młodziuteńkie. [...] Państwo, przypatrzywszy się tej pensji, zupełnie zaspokojeni zostali; już w klasztorze nie może być panna lepiej strzeżona. Madame nosi w kieszeni klucz od drzwi wchodowych, nikt bez jej wiedzy ani wyjść, ani wnijść nie może; gdyby nie kilku starych metrów[1], można by zapomnieć, jak mężczyźni wyglądają: krewnym żadnym płci męskiej bywać nie wolno [...].

Mam metra od francuskiego i od niemieckiego języka, od tańca, od rysunku, od haftu i od muzyki [...]. Kilka jest panien, które już polskiego tańca wcale nieźle zagrać potrafią, i to nie z palców, ale z nut, a co największa, ręce na krzyż. Metr mi obiecuje, że najdalej za pół roku dojdę i ja do tej doskonałości; miałam też i z domu jakie takie początki [...]. Metr od tańca prócz menuetów i kontradansa uczy nas chodzenia, kłaniania się; ja dotąd na jeden tylko manier się kłaniam, a to ich jest kilka: inaczej królowi, inaczej królewicom i innym panom i paniom [...]. Madame Strumle nawet z pacierza prośbę o dobrego męża wyrzucać kazała, a na to miejsce naukę dobrą włożyła. I tu prawdziwie o czym innym, jak o nauce, myśleć niepodobna".

Porównuję, siłą rzeczy, ich życie ze swoim, swoich koleżanek... Choć nadal, żyjąc już w XXI w., narzekamy na to, że kobiety są dyskryminowane, to różnica jest kolosalna. Nikt mi nie narzucał, jaką szkołę mam wybrać. Nie próbowałam, bo mnie to nie interesowało, ale z całą pewnością mogłabym uczyć się w policyjnej, wojskowej, technicznej czy pożarniczej. Co więcej, programy nauczania nie różnią się tylko dlatego, że uczniami są kobiety lub mężczyźni... A nawet jeśli ktoś wybiera dla swojego dziecka szkołę bez koedukacji, to jednak czy syn, czy córka uczą się podobnych przedmiotów. Nikt już nie uważa, że kobiet nie ma sensu uczyć bardziej skomplikowanych działań matematycznych, bo w życiu – jako

[1] Metr — dawniej: nauczyciel, zwłaszcza tańca, muzyki i języków.

gospodyniom domowym – przyda im się jedynie dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie... Coraz więcej kobiet pracuje w zawodach uznawanych dotychczas za męskie: przywdziewają mundur, wespół z kolegami patrolują ulice jako strażniczki miejskie, policjantki, są prawnikami, szefowymi dużych firm. Nikt mi nie narzuca, jaki sport byłby dla mnie najlepszy. Gdybym chciała skakać na bungee, zdobywać czternastotysięczniki, być rajdowcem, mogłabym, wierzę w to. Ogranicza mnie jedynie strach i subiektywna ocena własnej wytrzymałości fizycznej.

W tym porównywaniu zatrzymuję się na jednym elemencie, który dawniej pełnił ważną rolę w edukacji każdej młodej damy z dobrego domu – na nauce robót ręcznych. Znowu wertuję *Dziennik Franciszki Krasińskiej*, teraz już stricte pod kątem tej dziedziny życia. A to Franusia haftowała i robiła siatkę do komży, do kościoła w Piotrkowicach, a to do fary – na pewną intencję – poduszkę haftowaną dla Pana Jezusa, bądź to – w związku ze ślubem siostry – wszystkie panny zarzuciły naukę i na wyścigi, by zdążyć, przygotowywały prezenty dla młodej: dezabilkę linową z falbanami w robotki[2], rańtuch[3] na izabelowym muślinie wyszywany złotem i ciemnymi jedwabiami, przykrycie do gotowalni[4], zaś samej narzeczonej Jejmość Dobrodziejka kazała z jedwabiu starganego sakiewkę dla narzeczonego zrobić. Kiedy już Basię za mąż wydano, to w zamku spokój, ale i smutek zapanował, bo nikt nie potrafił tak jak ona Dobrodziejce kolorów do haftu dobierać i towarzystwa umilać. Na pensji także nie zaniedbywano prac ręcznych, a panienka nie zapomniała zanotować, że haftuje na kanwie strzelca z fuzją i z chartem na smyczy. Gdy starsza siostra matką została, a Franusia – chrzestną, małej Anielce białą sukieneczkę haftowaną oczywiście podarowała.

W czasach gdy różne działania manualne z igłą w roli głównej stanowiły jeden z obowiązkowych punktów rozkładu dnia, żadna kobieta właściwie nie miała wyboru i nie mogła uniknąć szydełkowania, szycia czy haftowania. 200 czy 100 lat później żadna kobieta nie musi wykazywać się takimi umiejętnościami, ale, co zadziwiające, wiele chętnie to robi. A właściwie nie wykazuje się, lecz po prostu realizuje, wyraża siebie, bawi materiałami, kolorami, fakturami, upiększa swoje otoczenie. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że setki pań, zmęczonych, zabieganych pracą na dwóch lub trzech etatach, prawie „padając na twarz", chwyta za nici, tamborek, nożyczki, obcążki i tym podobne narzędzia, by tworzyć. Słowem–kluczem moim zdaniem jest słowo „pasja".

Obserwując otoczenie: znajomych rzeczywistych i tych wirtualnych, zauważam, że naprawdę wiele osób, a w zasadzie kobiet, bawi się w rękodzieło. I nie tylko to tradycyjne, sięgające tradycją w głąb wieków, jak szycie, haftowanie różnymi technikami (a te tak naprawdę nie zmieniły się prawie w ogóle). Współczesne kobiety poszukują nowych technik dekoracyjnych: sutasz, decoupage, alu deco, quilling, wire wrapping, art clay, filcowanie. Dla wielu to sposób na odstresowanie, czasami wręcz ucieczkę od problemów, wyciszenie, naładowanie akumulatorów. Ogłoszono nawet modę na rękodzieło, a dowodem jest wzrost słupków sprzedaży różnych portali i sklepów internetowych zajmujących się sprzedażą własnoręcznie wykonywanych ubrań, ozdób i innych niebanalnych przedmiotów. W ten sposób coś, co w XVIII–XIX w. można było uważać za formę zniewolenia kobiet, stało się czymś, co daje radość i wolność, a nawet jest drogą do samodzielności i finansowej niezależności.

Konkludując, można chyba ogłosić nową, bardziej przystającą do współczesnych czasów myśl, wskazującą na sens życia kobiety: „Myślę, więc jestem, jestem, bo tworzę, tworzę, by żyć". Idea ta jest dużo bardziej przyjazna, zakłada bowiem pełną dobrowolność, a nie wyraża nakazu, który dla naszych antenatek sformułowali przecież mężczyźni...

Ilona Michalska-Masiarz

[2] Dezabilka linowa – batystowy strój poranny z haftowanymi falbankami.
[3] Rańtuch – chusta lub szal.
[4] Zwyczajowo, choć stała w sypialni, przykrywano kawałkiem lekkiego materiału toaletkę pani domu.

KRONIKA
luty – marzec 2014

Iłża

20.03.2014. Radomski malarz Henryk Sarna obchodził jubileusz 65-lecia twórczości i 30-lecia twórczości związanej z Iłżą. Z tej okazji w Domu Kultury otwarto wystawę jego prac.

Jedlińsk

4.03.2014. Ciągle niezwykłe, chociaż organizowane od setek lat widowisko „Ścięcie Śmierci" odbyło się na jedlińskim rynku. Wcześniej ulicami miasteczka przeszedł barwny korowód przebierańców.

Kozienice

22.03.2014. W Muzeum Regionalnym otwarto wystawę fotografii Teresy Ledóchowskiej-Horodyńskiej „Obecność w nieobecności", dokumentujących nastrój warszawskich ulic po śmierci Jana Pawła II.

Orońsko

8.03.2014. Centrum Rzeźby Polskiej zaprosiło na wernisaże trzech wystaw. Pierwsza z nich to międzynarodowa wystawa zatytułowana „Ecce animalia", poświęcona zwierzętom i ich relacjom z ludźmi, druga to rysunki, rzeźby i obiekty w drewnie Wiktora Gajdy. Jej tytuł brzmiał: „Nad pięknem mądrem Dunajem (wizualnie)". Ostatnia z prezentowanych to wystawa ceramiki Krzysztofa Rozpondka „Balast – konfiguracje".

22.03.2014. W Centrum Rzeźby Polskiej odbył się doroczny wieczór imieninowy dedykowany Józefowi Brandtowi. W części artystycznej wystąpili Katarzyna Suska (mezzosopran) i Maciej Zagórski (fortepian) z koncertem „Romantyczny salon Pana Brandta", na który złożyły się utwory Fryderyka Chopina, Stanisława Moniuszki i Michała Kleofasa Ogińskiego.

Przysucha

21.02.2014. Uroczystym koncertem rozpoczęły się obchody Roku Oskara Kolberga, ogłoszonego z okazji dwusetnej rocznicy urodzin największego dotychczas badacza polskiej kultury ludowej. Organizatorami było Muzeum Wsi Radomskiej oraz Instytut Muzyki i Tańca.

Radom

1.02.2014. Wystawę zatytułowaną „Spotkanie z bajką" otwarto w Muzeum im. Jacka Malczewskiego. Eksponaty bajkowe pokazane zostały na tle obrazów polskich malarzy: Jacka Malczewskiego, Olgi Boznańskiej, Tadeusza Makowskiego, Alfonsa Karpińskiego i innych.

2.02.2014. Muzeum Wsi Radomskiej zaprosiło na uroczystość święta Matki Bożej Gromnicznej. W programie była między innymi msza św. w kościele z Wolanowa, procesja z gromnicami do pól, prezentacja zwyczajów ludowych związanych ze świętem, wspólne kolędowanie.

21.02.2014. Krzysztof Herdzin Trio, czyli Krzysztof Herdzin, Robert Kubiszyn i Cezary Konrad, wybitni muzycy jazzowi koncertowali w MOK „Amfiteatr".

21.02.2014. Międzynarodową wystawę „Mała forma graficzna 13x18" otwarto w „Łaźni" Radomskim Klubie Środowisk Twórczych i Galerii. Kuratorem wystawy był Szymon Piasta.

1–9.03.2014. Radom po raz kolejny obchodził święto patrona „Kaziki 2014". W Resursie otwarta została wystawa grafiki Edmundasa Saladžiusa „Różaniec" i wystawa fotografii Aleksandra Olszewskiego „Z podróży na Litwę", odbył się I Wielki Test Wiedzy o Radomiu, wręczono Nagrodę św. Kazimierza, której laureatem zostało Bractwo Kurkowe, od-

były się koncerty muzyczne oraz Bieg Kazików o Puchar Prezydenta Miasta Radomia.

5.03.2014. W Galerii UTH „Rogatka" otwarto wystawę Virgilijusa Trakimavičiusa „Tylko Wiedeń".

6.03.2014. Zespół Szkół Muzycznych im. Oskara Kolberga zaprosił na recital pianistki Magdaleny Brzozowskiej promujący płytę z muzyką fortepianową Josepha Christopha Kesslera.

7.03.2014. W Mazowieckim Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" odbył się wernisaż wystawy z XXXI pleneru dla artystów posługujących się językiem geometrii „Sztuka a transcendencja – Radziejowice 2013".

14.03.2014. W Galerii „Łaźnia" otwarta została wystawa radomianki Moniki Drewnickiej. Artystka zaprezentowała tkaniny i malarstwo.

15.03.2014. Radomska Orkiestra Kameralna zaprosiła na kolejny w tym sezonie artystycznym koncert zatytułowany „Barokowe skrzypce", dyrygował Zbigniew Pilch. W programie znalazły się utwory muzyczne z XVII i XVIII w.

17.03.2014. Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej „Elektrownia" zaprosiło na kolejny Elektryzujący Maraton Filmowy. W Multikinie wyświetlone zostały filmy „Wielkie piękno" i „Blue Highwaj".

17.03.2014. Ośrodek Kultury i Sztuki „Resursa Obywatelska" zorganizował spotkanie autorskie ze Zbigniewem Kruszyńskim połączone z promocją najnowszej książki pisarza zatytułowanej *Kurator*.

28.03.2014. W galerii kina Helios otwarto wystawę fotografii „Obecność". Autorami prezentowanych prac są członkowie Fotoklubu RP Regionu Radomskiego.

Wsola

9.02.2013. Muzeum Witolda Gombrowicza wydało kolejny tomik poezji w serii Bibuła Literacka. Autorem *Abdykacji* jest Radosław Wiśniewski. Autor czytał, a właściwie śpiewał swoje wiersze, akompaniując sobie na gitarze. Po recitalu z poetą rozmawiał Jarosław Klejnocki. Spotkanie miało na celu promocję książki.

27.02.2014. Marek Bieńczyk, pisarz, laureat nagrody Nike 2013 za *Książkę twarzy* był gościem Muzeum Witolda Gombrowicza.

9.03.2014. W Muzeum Gombrowicza wystąpił Krzysztof Napiórkowski – kompozytor, pianista, wokalista.

30.03.2014. „Z obłoków na ziemię" to tytuł spektaklu literacko-muzycznego, który można było obejrzeć w Muzeum Witolda Gombrowicza. Wiersze Bolesława Leśmiana, Jana Twardowskiego i Karola Wojtyły recytował Jan Nowicki. Towarzyszyli mu muzycy: Marek Stryszowski, Cezary Chmiel, Tomasz Kudyk, którzy wykonywali utwory jazzowe.

Zwoleń

14.02.2014. W Domu Kultury otwarta została wystawa malarstwa Wiesławy Kutyły. Pokazano na niej ponad 50 prac. Były to akwarele i obrazy olejne, głównie kwiaty i pejzaże.

22.02.2014. Spotkanie z osobami wyróżnionymi medalem „Zasłużony dla Ziemi Zwoleńskiej" oraz promocja monografii Zwolenia autorstwa Cezarego Imańskiego w Centrum Regionalnym były jednym z punktów programu dorocznych obchodów nadania Zwoleniowi praw miejskich. W tym roku świętowano 589. rocznicę tego wydarzenia.



